

ROZBARK - NIKISZOWIEC
NA WSPÓLNYM SZLAKU



ROZBARK - NIKISZOWIEC
NA WSPÓLNYM SZLAKU

SPACEREM PO ROZBARKU

1. **Landratura** / obecnie Muzeum Górnośląskie w Bytomiu,
ul. Korfantego 34
2. **Kamienica budowniczego Eduarda Arndta**,
ul. Korfantego 36 / ul. Sokoła 19
3. **Kamienica restauratora Carla Krausego**, ul. Witczaka 49
4. **Kamienica Petera Spyry I**, ul. Witczaka 37
5. **„Palast-Theater”** (obiekt nieistniejący), ul. Witczaka 35
6. **Kamienica Johanna Spyry II**, ul. Witczaka 44
7. **Dom Johanna Gmyrka**, ul. Brzezińska 4
8. **Kamienica Lucji Rygoll**, ul. Brzezińska 23
9. **Budynek maszyny wyciągowej szybu „Mauve” / „Bończyk”**,
ul. Chorzowska 12
10. **Budynek cechowni** / obecnie siedziba Bytomskiego
Teatru Tańca i Ruchu ROZBARK, ul. Kilara 29
11. **Budynek mieszkalny dla urzędników kopalni**, ul. Miarki 36

ROZBARK - NIKISZOWIEC
NA WSPÓLNYM SZLAKU

Katowice 2016

Konsultacja historyczna tekstów dot. Rozbarku: **Przemysław Nadolski**
Konsultacja historyczna tekstów dot. Nikiszowca: **Joanna Tofilska**
Zebranie i opracowanie relacji „historii mówionej”: **Małgorzata Krakowiak**
Redakcja: **Małgorzata Krakowiak**
Projekt graficzny: **Piotr Jakoweńko**
Fot. na okładkach:
Rozbark - ze zbiorów **Stowarzyszenia Dawno Temu W Bytomiu**
Nikiszowiec - fot. **Marek Locher**



Wydawca:

Stowarzyszenie Fabryka Inicjatyw Lokalnych

www.fil.org.pl

ISBN 978-83-946514-1-1

ASOS 2014-2020

Rządowy Program na rzecz Aktywności Społecznej
Osób Starszych na lata 2014-2020

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

Projekt dofinansowany ze środków Rządowego Programu
na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych na lata 2014-2020

ROZBARK – NIKISZOWIEC NA WSPÓLNYM SZLAKU

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne	s. 7
Rozdział I: Historia Rozbarku	s. 13
Rozdział II: Spacerem po Rozbarku	s. 39
Rozdział III: Rozbark - historia mówiona	s. 79



fot. Marek Locher

SŁOWO WSTĘPNE

Małgorzata Krakowiak

Niektórych może dziwić zestawienie ze sobą w jednej publikacji Rozbarku i Nikiszowca. Owszem, to miejsca o różnej historii – pierwsze wzmianki o Rozbarku pochodzą z XIV w., Nikiszowiec kilka lat temu obchodził swoje stulecie. Rozbark był początkowo wsią. Nikiszowiec powstał jako typowe osiedle patronackie. Znajdująca się w sąsiedztwie Nikiszowca kopalnia „Wieczorek” wciąż pracuje – chociaż nie wiadomo jak długo. Kopalnia „Rozbark” została zamknięta w 2004 r.

Oczywiście można też pokusić się o znalezienie kilku wspólnych wątków. Nikiszowiec i Rozbark powiązane są z górnictwem i węglem. W obu tych miejscach miała swoje kopalnie Spółka Górnicza Spadkobierców Georga von Giesche. Nie tylko Nikiszowiec może poszczycić się niezwykłą architekturą zaprojektowaną przez kuzynów Emila i Georga Zillmannów. Chociaż znacznie mniej popularne, to obiekty tych dwóch berlińskich architektów znajdziemy także na Rozbarku. W obu miejscach bardzo duże znaczenie dla społeczności miał kościół – nie tylko wyznaczając kalendarz najważniejszych wydarzeń, lecz będąc także organizatorem bogatego życia społecznego oraz gwarantem tradycji. A róże z rozbarskiego stroju stały się najprawdopodobniej inspiracją dla mozaiki znajdującej się na rynku w Nikiszowcu.

Ale zestawienie tych obu miejsc ma jeszcze inny sens. Przeciwstawia się stereotypowemu postrzeganiu Górnego Śląska po to, aby pokazać krainę bogatą, wyrazistą chociaż tak różnorodną. Gdzie to, co miejskie łączy się z wiejskim. Gdzie architektura ma istotny wpływ na jakość życia i codzienność oraz sposób postrzegania swojej małej ojczyzny, na którą poza przywiązaniem do miejsca składa się oczywiście tradycja i znaczenie rodziny. Dlatego myślenie w kategoriach małej ojczyzny może być trwalsze niż granice państwowe.

Wielką siłą Rozbarku i Nikiszowca są więc przede wszystkim ludzie, z ich przywiązaniem do miejsca, tradycji i historii lokalnej. Wiadać to m.in. w bogatych zbiorach rodzinnych fotografii i pamiątek, nierzadko świetnej znajomości dat narodzin i śmierci przodków i własnoręcznie sporządzonych drzewach genealogicznych. I to przede wszystkim dzięki tym ludziom powstała właśnie ta publikacja.

Dlatego Górny Śląsk z całym jego bogactwem ma ogromny potencjał, także turystyczny. Nikiszowiec już tego doświadcza. Osiedle, które w ostatnich latach przeszło wiele pozytywnych zmian, a w 2011 r. zyskało status Pomnika Historii – dostało nowy impuls do rozwoju. Wizyty gości z innych krajów i kontynentów wpisały się już w codzienność Nikiszowca. I chociaż dla wielu może brzmieć to mało prawdopodobnie, to potencjał turystyczny posiada także Bytom. Owszem, o mieście tym w doniesieniach prasowych mówi się na ogół w kontekście niszczącej zabudowy i szkód górniczych. Ale wystarczy spacerować się niektórymi ulicami Bytomia, porozmawiać z ludźmi, aby przekonać się, że to niezwykle miasto.

Celem tej książki nie jest więc odtworzenie historii Rozbarku i Nikiszowca, ani próba poszukiwania między nimi na wyrost analogii. Publikacja ta powstała przede wszystkim po to, aby pokazać niezwykłość tych miejsc z perspektywy jej mieszkańców. Dlatego opiera się ona w znacznym stopniu na tzw. „historii mówionej”, czyli na rozmowie z drugim człowiekiem. Spotykałam się z moimi rozmówcami w ich rodzinnych domach. Zdarzało się też, że spacerowaliśmy ulicami Rozbarku i Nikiszowca. I za każdym razem było to niepowtarzalne przeżycie – doświadczenia ginącego świata, który dzięki moim rozmówcom na chwilę został przywrócony. Dlatego pierwszeństwo nad wielką historią ma tutaj indywidualna, niepowtarzalna relacja. A zapis tych spotkań to dowartościowanie tych niezwykłych ludzi i miejsc, w których żyją. A także ukazanie fenomenu śląskiej historii.

Ale to nie jest publikacja tylko wspomnieniowa i nostalgiczna. Wręcz przeciwnie. Bardzo mocno łączy się z teraźniejszością i przyszłością – każde z tych miejsc stoi przed różnymi wyzwaniami związanymi z ograniczaniem przemysłu i koniecznością zapełnienia po nim pustej przestrzeni. Dlatego książka ma zachęcić do spojrzenia na Śląsk także jak na krainę, która wciąż się zmienia – co jest dla niego wielką szansą, ale i wyzwaniem zarazem. Zapraszamy Was zatem – już po raz kolejny – w tę fascynującą podróż. Publikacja ta stanowi bowiem kontynuację naszej poprzedniej pt. „Kleinfeld. Wielkie historie na Małym Polu”.

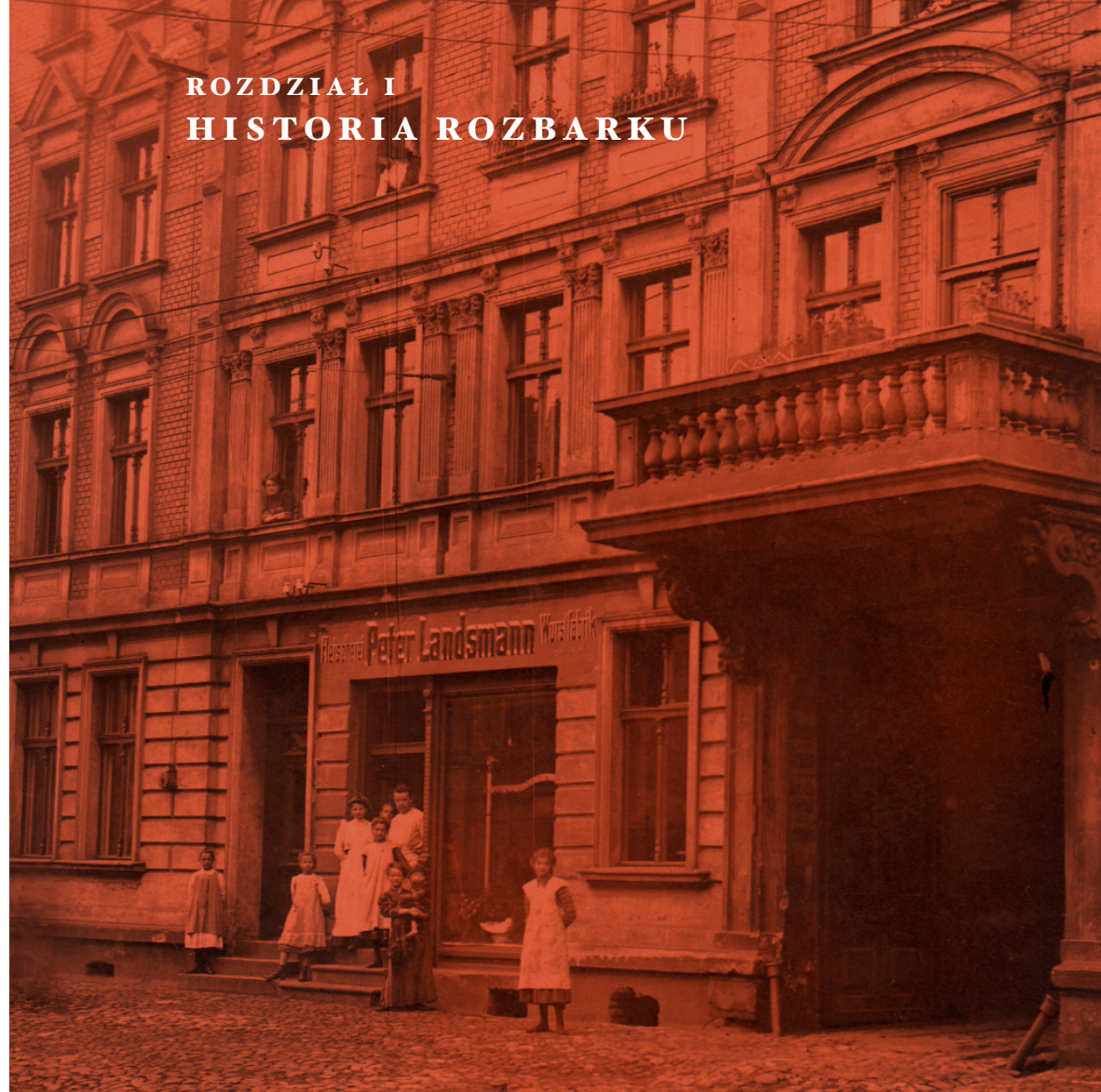
Książka ta nie powstałaby, gdyby nie otwartość i pasja wielu ludzi. Zarówno mieszkańców Rozbarku i Nikiszowca oraz osób pasjonujących się historią Górnego Śląska jak i ludzi działających na rzecz lokalnej społeczności. Składam szczególne podziękowania wszystkim tym, którzy mieli czas, aby – nawet kilka razy – spotkać się ze mną i podzielić się swoimi bezcennymi wspomnieniami i archiwami. Dziękuję: Panu Jackowi Boroniowi, Pani Mariannie Cofala i jej mężowi Helmutowi, Panu Helmutowi Piontek, Panu Henrykowi Psota, Panu Andrzejowi Solińskiemu, Pani Małgorzacie Sprot, Panu Mieczysławowi Szemalikowskiemu, Pani Pelagii Szyja i jej wnuczce Oli, Pani Barbarze Waluś, Pani Danucie Nowickiej. Powstanie tej publikacji wsparło także wiele osób, które tematem Nikiszowca lub (i) Rozbarku zajmują się zawodowo lub z pasji. Słowa wdzięczności kieruję zatem do Pani Joanny Tofilskiej, Pana Przemysława Nadolskiego, Pana Marka Wojcika, Pana Piotra Wąsowicza, Rafała Pietrzyka ze Stowarzyszenia Dawno Temu W Bytomiu, Magdaleny Mikrut-Majeranek, Daniela Lekszyckiego, Małgorzaty Kłyb. Szczególne podziękowania kieruję do Pana Piotra Mankiewicza – dyrektora Muzeum Chleba, Szkoły i Ciekawostek w Radzionkowie oraz Pana Leona Wostala, którzy tak chętnie dzielili się ze mną swoją pasją. Dziękuję także fotografom – Markowi Locherowi oraz Pawłowi Szałankiewiczowi, którzy potrafili uchwycić nieuchwytnie – *genius loci* obu miejsc. Na koniec kieruję podziękowania do instytucji – Bytomskiego Teatru Tańca i Ruchu „Rozbark”, Muzeum Historii Katowic, Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, Urzędu Miasta Bytom, Urzędu Miasta Katowice, Parafii św. Jacka w Bytomiu oraz Drukarni SKILL.



Na zdjęciu uczestnicy projektu „Rozbark-Nikiszowiec: Na Wspólnym Szlaku”, zdjęcie wykonane w Muzeum Chleba, Szkoły i Ciekawostek w Radzionkowie; fot. Małgorzata Krakowiak

>
Scharleyerstr. (obecnie ul. Witczaka);
ze zbiorów Stowarzyszenia
Dawno Temu W Bytomiu

ROZDZIAŁ I HISTORIA ROZBARKU





Fragment planu zabudowy gminy Rozbark z lat 1896-1897; Archiwum Państwowe w Katowicach, Zbiór kartograficzny, sygn. I 34

POCHODZENIE NAZWY ROZBARK

Marek Wojcik

Dwa dokumenty nt. podziału ziemi bytomskiej z roku 1369 są najstarszymi, w których pojawia się nazwa Rozbark (woryginalie Rosenberg). Zdecydowana większość nazw w tych dokumentach ma etymologię słowiańską i pochodzi zapewne jeszcze z czasów sprzed kolonizacji niemieckiej. Germańską etymologię oprócz Rozbarku mają jeszcze: Schalberg (nazwa niejasna, być może pierwotna nazwa Szarleju) i Schonberg (późniejszy Schomberg, pol. Szombierki). Znamienne jest, że te germańskie nazwy posiadają taką samą końcówkę – berg. W języku niemieckim wyraz *Berg* oznacza górę, ale także jest częścią wyrazów związanych z górnictwem jak *Bergwerk* (kopalnia) czy *Bergmann* (górnik).

Nie budzi wątpliwości, że Rosenberg, Schalberg i Schonberg to nazwy starych kopalni ołowiu i srebra pod Bytomiem, choć dokumenty potwierdzające wydobycie metali w tych miejscowościach pochodzą dopiero z XVI w. W tymże XVI w. powstają w okolicy kolejne, analogicznie nazwane kopalnie/bergi: Silberberg (pol. Strzybnica), Trockenberg (niekiedy określane też jako Dürrenberg, pol. Sucha Góra) i Georgenberg (pol. Georgenberk, po 1922 r. przemianowany na Miasteczko Śląskie). Warto przy tym zauważyć, że w okolicach Rozbarku znajdują się pokłady charakterystycznego piasku, o czerwonej lub różowej barwie, który może być źródłem pierwszej części nazwy – *Rosen* (róza, różany).

WIELOWIEKOWA HISTORIA ROZBARKU

Magdalena Mikrut-Majeranek

Rozbark to miejsce ze wszech miar wyjątkowe. To stąd wywodzi się polski Händel, czyli ks. Grzegorz Gerwazy Gorczycki (ok. 1667-1734), duchowny katolicki, kompozytor i dyrygent, czy Paul Habraschka – śląski pisarz i poeta górniczy. To tutaj kultywowany jest zwyczaj noszenia tradycyjnych strojów regionalnych w Wielką Sobotę, a kościół św. Jacka zachwyca przechodniów swą monumentalną bryłą.

Pierwsze wzmianki

Pierwsza wzmianka nt. Rozbarku pochodzi z dokumentu wystawionego w 1369 r., traktującego o podziale księstwa bytomskiego pomiędzy książąt piastowskich: Konrada Oleśnickiego oraz Przemysława Cieszyńskiego, w skład włości którego weszła rozbarska wieś. W dokumencie wystawionym przez Konrada II Oleśnickiego, księcia śląskiego, pana na Oleśnicy i Koźlu w Bytomiu 26 stycznia 1369 r. można przeczytać: *Nasz szwagier powinien mieć także na podstawie losowania poza miastem kościół św. Małgorzaty i wszystkie ogrody, które leżą między ulicą Gliwicką a kościołem św. Ducha i do tego przynależny Locketmoyl i Rozbark oraz wszystkie ogrody*¹.

¹ *Konrad Oleśnicki o dokonaniu podziału Bytomia.*
W: J. Drabina, J. Horwat, Z. Jedynak: *Bytom średniowieczny.*
Przekazy źródłowe 1123-1492. Opole 1985, s. 145.



Ślady osadnictwa na terenie Rozbarku sięgają epoki brązu. Zamieszkująca ten teren ludność trudniła się rolnictwem oraz hodowlą. Zgodnie z legendami o św. Jacku, w XIII w. znajdowało się tu miejsce kultu. Wzgórze rozbarskie otaczała niegdyś rzeka Kaczawa oraz stawy rybne. Osadę założono podczas średniowiecznej akcji kolonizacyjnej, a lokowano ją na prawie niemieckim. Rozbark był wówczas wsią typu owalnica, ponieważ budowane na jego terenie gospodarstwa były skupione wzdłuż dwóch ulic: dzisiejszej Witczaka oraz Staromiejskiej. Pomiędzy nimi znajdowały się wspólne pastwiska gminne.

Gromada Rozbarska ze sztandarem na tle kaplicy św. Jacka; ze zbiorów Stowarzyszenia Dawno Temu W Bytomiu

Natomiast wzdłuż dzisiejszej ul. Musialika biegła nowsza część wsi, czyli Wygiełzów. W rejonie Pogody wznosił się folwark oraz dwór rozbarski, a w północnym kwartale wsi funkcjonował folwark Górecko. Od XIX w. dwór ten pełnił funkcję rozbarskiego ratusza gminnego. Dziś w tym miejscu znajdują się dwa wieżowce. Rozbark miał także karczmę, a piwo z browaru hrabiowskiego szynkowano już od 1669 r.

U podnóża wzgórza, pomiędzy dzisiejszą ul. Matejki a ul. Szkolną znajdował się staw – źródło św. Hiacynta (św. Jacka). Z czasem zaczęła w nim zanikać woda. Powodem mogło być uruchomienie w 1823 r. w Szarleju kopalni galmanu, zasilanej w wielkie pompy parowe oraz wekturancja. Franz Gramer w swojej kronice pisał: *Maszyny do odpompowywania wody ustawione w wiosce Szarłej doprowadziły w grudniu do zaniku źródła św. Jacka, lecz woda pojawiła się ponownie pod koniec lutego 1824 roku*². Od tego czasu woda sukcesywnie powracała i zanikała, by w 1830 r. definitywnie zniknąć, a staw wysechł.

XIX-wieczny Rozbark, czyli przemysłowo-usługowa osada

W XIX w. Rozbark był niewielką wsią, w skład której wchodziły 2 folwarki. Zamieszkiwało ją 9 kmieci, 37 zagrodników i 8 chałupników. Znajdowały się w niej 2 młyny: Alberta Schaudera i Foissika oraz wiatrak, uruchomiony przez Michała Spyrę. Rozbark posiadał też od 1842 r. własną szkołę. Powoli przeistaczał się w przemysłowo-usługową osadę. W 1896 r. wieś została zelektryfikowana. Na jej terenie

2 F. Gramer: *Kronika miasta Bytomia na Górnym Śląsku*. Bytom 2014, s. 181.



działała też kopalnia węgla kamiennego, która niegdyś nosiła miano „Heinitz”. Eksploatację złóż w wymienionej kopalni rozpoczęła rodzina Friedländerów, którzy weszli w posiadanie kopalni „Fanny” i „Moritz”. Konsolidacja 3 kopalń miała miejsce w roku 1870. Utworzono wówczas jedną kopalnię, która otrzymała nazwę „Heinitz”. W 1945 r. jej nazwę zmieniono na „Rozbark”, a w 2004 r. zakład uległ likwidacji. Jednym z najtragiczniejszych dni w historii kopalni był 31 stycznia 1923 r., kiedy nastąpił wybuch pyłu węglowego i pożar. W wyniku katastrofy zginęło lub zmarło od odniesionych ran 145 górników. Zginęło także 4 ratowników biorących udział w akcji.

Kopalnia „Heinitz” (od 1945 r. „Rozbark”); ze zbiorów Stowarzyszenia Dawno Temu W Bytomiu

Na rozbarskim cmentarzu pochowano 122 górników, 20 spoczęło na cmentarzu w Piekarach Śląskich, 1 na cmentarzu w Karbiu, 1 na cmentarzu w Chechle oraz 1 na cmentarzu w Radzionkowie.

Pod koniec lat 70. XIX w. uruchomiono rozbarski szpital przy dzisiejszej ul. Musialika 2, a w 1894 r. powstało prowadzące przez wieś połączenie tramwajowe łączące Bytom z Piekarami Śląskimi. Mieszkańcy mogli uczestniczyć w życiu kulturalnym, ponieważ w 1919 r. otworzono pierwsze kino zwane „Central-Theater”, a spektakle teatralne i inne rozrywki odbywały się w rozbarskich karczmach.

Tramwaje na Königshütter Chaussee (obecnie ul. Chorzowska); ze zbiorów Stowarzyszenia Dawno Temu w Bytomiu



Kościół św. Jacka

W centrum Rozbarku zawsze znajdowała się świątynia pw. św. Jacka. Początkowo była to drewniana kaplica, później murowany kościółek, a znany nam dziś kościół wzniesiony został w latach 1908-1911. Pomysł budowy dwukondygnacyjnego i trzynawowego neoromańskiego kościoła powstał z inicjatywy ks. Emanuela Buchwalda, proboszcza kościoła Wniebowzięcia NMP. Natomiast projekt przygotował architekt Max Giemsa (zgodnie z jedną z teorii autorem projektu mógł być Johannes Franziskus Klomp). Pierw-

Kościół św. Jacka; ze zbiorów Stowarzyszenia Dawno Temu w Bytomiu





*Gruß aus Beuthen, O.-S.
Flurstraße mit Viktor Galonska's
Kolonialwarengeschäft*

Flurstr. (obecnie ul. Sienna);
ze zbiorów Stowarzyszenia
Dawno Temu W Bytomiu



Rosberg b Beuthen O.-S., d. Scharleyerstr. u. Ecke Neustr.

Scharleyerstr. (obecnie ul. Witeczaka);
ze zbiorów Stowarzyszenia
Dawno Temu W Bytomiu

szy szpadeł pod budowę kościoła wbił ks. Buchwald 12 maja 1908 r., a 18 października poświęcono i wmurowano kamień węgielny. Neomańska budowla została zbudowana z piaskowca. Posiada transept, dwuwieżową fasadę, absydę, prezbiterium oraz emporę. Dzwony подарowane kościołowi przez bp. wrocławskiego kardynała Jerzego Koppa, które wykonała firma ludwisarska F. Otto, funkcjonująca w Hemelingen-Bremen, poświęcono 17 grudnia 1909 r. Samodzielną parafię ustanowiono 1 lipca 1915 r., a pierwszym proboszczem został ks. Franciszek Strzybny.

Od 1920 r. parafia posiada własny cmentarz. 5 grudnia 1920 r. nekropolia została poświęcona przez ks. dziekana E. Buchwalda. Spoczywają tam m.in. księża: ks. dziekan Franciszek Strzybny, ks. prof. Jan Kurek, ks. dziekan Jan Szymała, ks. Paweł Spyra, ks. Jan Labus, ks. kan. Józef Tokarz, ofiary II wojny światowej – 6 żołnierzy niemieckich odnalezionych w okolicy cmentarza oraz 2 nieznanymi z nazwiska cywilów. Znajduje się tam też pomnik powstańców śląskich z 1921 r. i 4 groby powstańców: Alfonsa Gwoździa, Józefa Włodarczyka, Jana Ludygi i R. Jonsona oraz pomnik ofiar katastrofy kopalnianej z 1923 r. 1 listopada 2013 r. odnowiona nekropolia została poświęcona przez ks. bp. Gerarda Kusza. Zyskała też nazwę „Jeruzalem”.

Życie polityczne

W XX w. Rozbark stał się ważnym ośrodkiem polskiego życia politycznego. Na obrzeżach osady graniczącej z Bytomiem znajdował się także „UL”, czyli Dom Narodowy. W latach 1910-1922 był siedzibą Gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, a także Polskiego Zjednoczenia Zawodowego i Związku Polek. W 1913 r. w gmachu „ULu” założono pierwszy działający na terenie Bytomia chór „Hal-ka”. Organizowano tam także spotkania Towarzystwa św. Antoniego.

Polska manifestacja przed budynkiem „UL”. Widoczna kamienica na rogu obecnych ul. Korfantego i Sokoła; fot ze zbiorów Stowarzyszenia Dawno Temu W Bytomiu.



Zajazd
Pawelczyk,
Kaminerstr.
(obecnie
ul. Musialika);
ze zbiorów
Stowarzyszenia
Dawno Temu
W Bytomiu



ROSSBERG-BEUTHEN O.-S., Kaminerstraße 35
Josef Pawelczek :-: Tel. 1144 :-: Destillations-Ausschank u. Weinhandlung.
Die Bürgersäle als Königl. Reserve-Lazarett.
Bild aus dem Lazarettleben. Kriegsjahre 1914-15-16.



Natomiast w mieszczącej się na ul. Musialika Karczmie Kasperczyka i zajędzie Pawelczyka toczyły się rozmowy patriotyczne, organizował się ruch robotniczy oraz kwaterowali powstańcy, przygotowujący się do III powstania śląskiego. Gościł tu m.in. Karol Miarka, Juliusz Ligoń, Norbert Bończyk czy Ludwik Waryński.

Przyłączenie do Bytomia

W 1927 r. Rozbark został wcielony do Bytomia. Jako ciekawostkę należy nadmienić, że 25 stycznia 1931 r. podczas zebrania członków Gromady Rozbarskiej Kasper Tokarz wygłosił referat o planetach

Scharleyerstr.
(obecnie
ul. Witeczaka);
ze zbiorów
Stowarzyszenia
Dawno Temu
W Bytomiu



niebieskich i o rakiecie, którą uczeni chcą się dostać do księżycy, który członkowie z zajęciem wysłuchali. Prawdopodobnie później rozmawiano o filmie Georges'a Mélièsa „Podróż na księżyc”. Film mógł być wyświetlany w sali teatralnej mieszczącej się w Domu Parafialnym przy ul. Witczaka 34, gdzie znajdowała się sala kinoteatru. Rozbarczanie byli nie tylko pracownicy i hojni, ale i interesowali się żywo kulturą i sztuką.

Rozbark został wchłonięty przez Śródmieście. Dawne granice i podziały zatarły się. Niektórzy zapominając, że serce dawnego Rozbarku biło wokół ul. Witczaka, Alojzjanów i Musialika, sytuują Rozbark w okolicach osiedla Tuwima, Arki Bożka i Zawadzkiego. Zabudowania powstały tam po 1956 r., czyli w okresie odwilży popaździernikowej, kiedy rozpoczęto akcję budowania 25 bloków mieszkalnych. Osiedla te były zamieszkiwane głównie przez pracowników pobliskiej KWK „Rozbark”. Dzielnica nieustannie się rozwijała, a w konsekwencji wzrostu zaludnienia na terenie jej wschodniej części, podjęto decyzję o wzniesieniu kościoła św. Anny. W tym celu z obszaru parafii NMP wydzielono nową parafię. Prace budowlane ruszyły w 1982 r. Pomimo tragicznej śmierci inicjatora budowy, ks. proboszcza Wacława Schenka, parafia św. Anny powstała w 1986 r. Konsekracja świątyni nastąpiła 20 listopada 1989 r. Tuż obok wzniesiono Centralną Stację Ratownictwa Górniczego, oddaną do użytku w 1908 r. (wtedy jako Górnośląską Główną Stację Ratownictwa Górniczego).



Sedanstr. (obecnie ul. Sandomierska);
ze zbiorów Stowarzyszenia
Dawno Temu W Bytomiu



Scharleyerstr. (obecnie ul. Witczaka) od strony Pogody;
ze zbiorów Stowarzyszenia
Dawno Temu W Bytomiu



Pogoda w 1945 r.;
ze zbiorów Stowarzyszenia
Dawno Temu W Bytomiu

WSPÓŁCZESNOŚĆ, CZYLI JAK ZMIENIA SIĘ ROZBARK

Magdalena Mikrut-Majeranek

Ważnym punktem na kulturalnej mapie Rozbarku był kiedyś dom Bractwa Strzeleckiego, wzniesiony w 1912 r. przy Redenstr. (obecnie ul. Prusa). Dziś mieści się tam siedziba Bytomskiego Centrum Kultury, a od początku lat 90. XX w. do 2013 r. – także Śląskiego Teatru Tańca. Wkrótce po powstaniu teatru jego dyrektor, Jacek Łumiński stworzył cieszący się dużym powodzeniem projekt Międzynarodowej Konferencji Tańca Współczesnego i Festiwalu Sztuki Tanecznej, odbywający się w latach 1991-2012 r. W tym okresie Rozbark co roku przez dwa wakacyjne tygodnie stawał się europejską stolicą tańca. W 2011 r. podjęto decyzję o zmianie siedziby teatru. Miała ona zostać przeniesiona do zrewitalizowanej cechowni dawnej KWK „Rozbark”. Zamknięta w 2004 r. kopalnia zyskała szansę na swoje „drugie życie”, tym razem na niwie artystycznej. Jednakże ŚTT zlikwidowano w 2013 r. W jego miejsce utworzono Bytomski Teatr Tańca i Ruchu „Rozbark”, który zainaugurował działalność w postindustrialnym gmachu kopalnianej cechowni 7 marca 2014 r. Dziś poza spektaklami i warsztatami tanecznymi realizowane są tam rozmaite projekty związane z historią i tradycją dzielnicy. W obiekcie powstało kilka scen z filmu „Sól ziemi czarnej” w reżyserii Kazimierza Kutza, a w 2014 r. o niedziałającej kopalni i rozbarskiej społeczności nakręcono dokument pt. „Obraz i dźwięk, kiedyś i dziś. Historie



i wspomnienia byłych pracowników KWK Rozbark”, autorstwa Anu Czerwińskiego, w ramach projektu „Serce robotnika napędza praca”, realizowanego przez znanego śląskiego performerę i choreografa – Rafała Urbackiego. W 2016 r. powstał kolejny obraz o Rozbarku – tym razem opowiadający o jego najdawniejszych dziejach – film „Rozbarskie podania” w reżyserii Mieczysława Szemalikowskiego, na zlecenie Piotra Mankiewicza, dyrektora Muzeum Chleba, Szkoły i Ciekawostek w Radzionkowie.

fot. Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments

fot. Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments

Kolejnym ważnym miejscem dla życia społeczno-kulturalnego Rozbarku jest parafia św. Jacka, przy której funkcjonuje wiele wspólnot kościelnych, prężnie działa także klub seniora. 4 października 2013 r. miało miejsce poświęcenie nowo powstałego Centrum Edukacyjno-Kulturalnego im. ks. Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego oraz Ogrodu Różańcowego, zaprojektowanego przez Przemysła Łukasika. Kiedyś mieścił się tam ogród farski z altanką, przeznaczony wyłącznie dla księży. Później zbudowano w tym miejscu plac zabaw, który z roku na rok niszczał. W 2014 r. ogród został nominowany do Super-



jednostki – nagrody przyznawanej przez katowickie Stowarzyszenie Moje Miasto. W Centrum Edukacyjno-Kulturalnym odbywają się doroczne jarmarki świąteczne, spotkania klubu seniora, zajęcia edukacyjne i rekreacyjne, a także Muzyczne Czwartki na Rozbarku, czy darmowe seanse filmowe. Młodzież rozbarska wraz z osobami niepełnosprawnymi co roku wystawia w Operze Śląskiej spektakl teatralny.

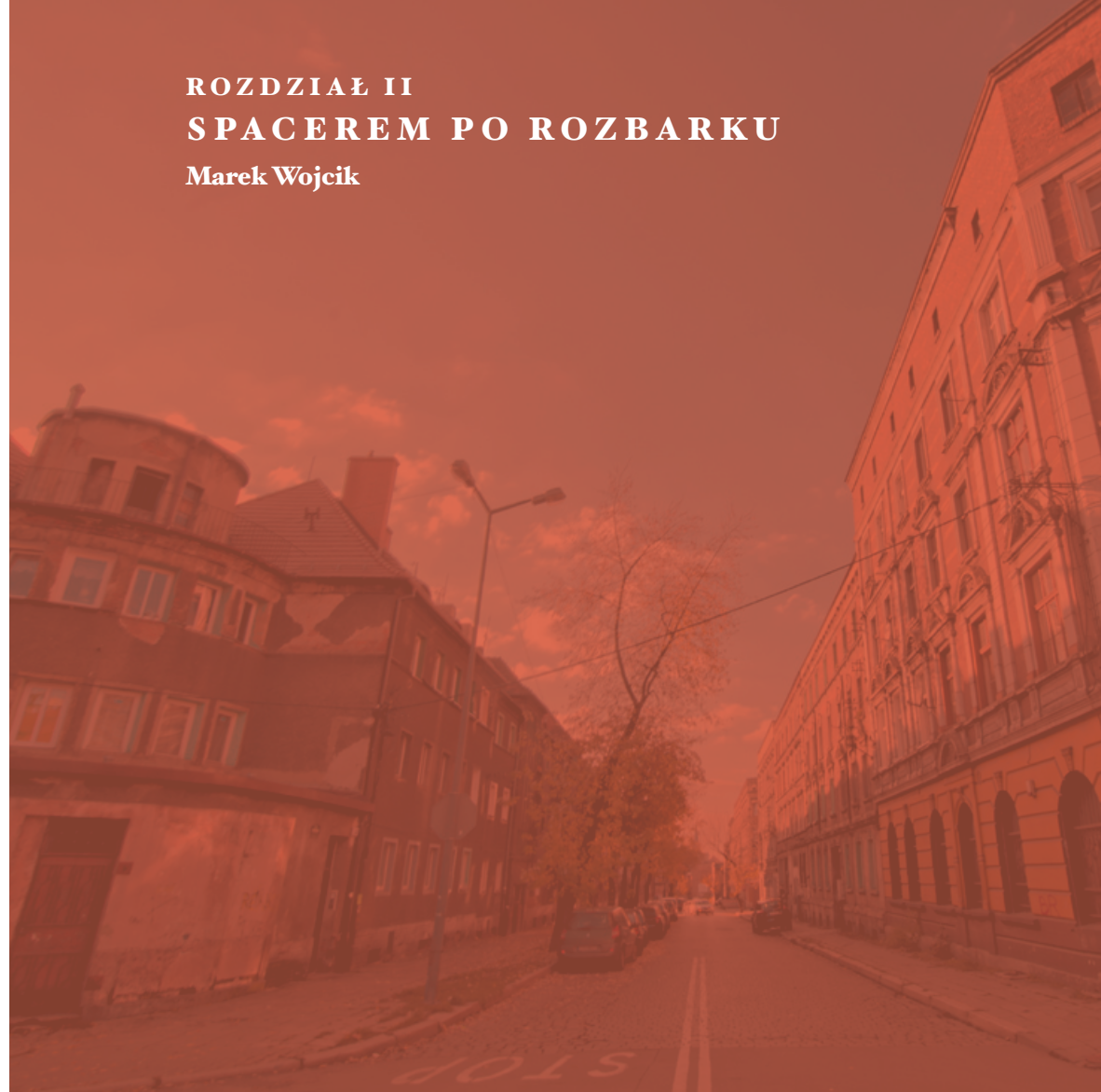
Historia dawnego Rozbarku nie zginęła, a jego tradycje pielęgnowane są przez mieszkańców. W parafii św. Jacka kultywowany jest dawny zwyczaj święcenia pokarmów w Wielką Sobotę w strojach rozbarskich. Uroczystość ta przyciąga setki osób z całego województwa, ponieważ jest to jedna z niewielu parafii, która pielęgnuje dawne zwyczaje. Gromada Rozbarska bierze udział we wszystkich najważniejszych świątach kościelnych. W 2016 r. działająca przy parafii św. Jacka Fundacja Rozbark przystąpiła do realizacji projektu „Strój rozbarski łączy pokolenia”, w ramach którego prowadzone są prace przy konserwacji, odtwarzaniu starych wzorów rozbarskiego stroju damskiego i męskiego w różnych jego konfiguracjach, a także pokazywane są metody przygotowywania stroju. To kolejny element budowania tożsamości lokalnej oraz przekazywania dziedzictwa kulturowego najmłodszemu pokoleniu.



fot. Paweł Szalankiewicz, Invisible Moments

>
fot. Paweł Szalankiewicz,
Invisible Moments

ROZDZIAŁ II
SPACEREM PO ROZBARKU
Marek Wojcik



Spacer wybranymi ulicami Rozbarku – historyczne nazwy

Po upadku górnictwa Rozbark był przez wieki niewielką podbytomską wsią. Dopiero rozwój w XIX w. górnictwa węgla i towarzysząca temu industrializacja przyniosły zasadniczą zmianę. W 1845 r. Rozbark liczył już 845 mieszkańców, w 1905 r. – 17 848, a w 1925 r. – 23 420. Na przełomie XIX i XX w. zniknęły dawne zagrody i drewniane chaty, zastąpione miejskimi kamienicami, a przyłączenie w 1927 r. do Bytomia było już tylko administracyjną formalnością. Dzisiaj, bez starych planów, nie sposób rozpoznać, gdzie biegła dawna granica między wsią Rozbark a miastem Bytom.

Spacer odbywać będziemy wybranymi ulicami Rozbarku, tak aby pokazać przede wszystkim jego mieszczańską zabudowę, a także przemysłowe projekty Emila i Georga Zillmannów. Przy tej okazji warto więc wspomnieć historyczne nazwy tych ulic, których zmiany odzwierciedlają burzliwe losy Śląska. Zaczynamy od ulicy wyznaczającej granicę między Bytomiem a Rozbarkiem.

Ulica Korfantego: jej historyczna nazwa – Klukowitzerstr. (Klukowicka) pochodzi od nazwiska Kluka, właściciela stawu i młyna. Młyn Kluka znajdował się w okolicach skrzyżowania dzisiejszych ul. Matejki i Szkolnej. W 1937 r., w czasach panującego tu nazizmu nazwę ulicy zmieniono na Friedenshütterstr. (ul. Nowobytomska), w 1945 r. na ul. Korfantego, nieco później na ul. Armii Ludowej i w 1981 r. po raz kolejny przemianowano ją na ul. Korfantego.

Ulica Piłsudskiego: fragment tej ulicy znajdujący się na Rozbarku powstał na początku XX w. Otrzymał wtedy imię Otto von Bismarck. Po klęsce Niemiec w I wojnie światowej zmieniono nazwę na Freiheitstr. (ul. Wolności), a w 1937 r. przywrócono jej nazwę na Bismarcka. Tym razem jednak nie była to tylko krótka ulica na Rozbarku, ale fragment całego ciągu – gdyż połączono ją z bytomską Grosse Blottnizastr. (ul. Wielkobłotnicką). Po II wojnie światowej ciąg ten przemianowano na ul. Wolności, a w 1991 r. na ul. Piłsudskiego.

Ulica Witczaka: historyczna nazwa to Scharleyerstr. (ul. Szarlejska), gdyż wiodła z Bytomia w kierunku pobliskiego Szarleja. Na starych planach jest właśnie tak prosto określana: droga z Bytomia na Szarlej (*Chaussee von Beuthen nach Scharlei*).

Ulica Brzezińska: pierwotnie nazywała się Gross Dombrowkaerstr. (ul. Wielko Dąbrowska), gdyż prowadziła do Dąbrówki Wielkiej. W 1937 r. przemianowano ją na Birkenhainerstr. (ul. Brzezińska) od nazwy leżących nieco bliżej Brzeziny. Po II wojnie światowej nazwa ta – rzecz jasna w polskiej wersji językowej – została utrzymana, dlatego obecnie ulica nazywa się Brzezińska.

Landratura

obecnie Muzeum Górnośląskie w Bytomiu

ul. Korfantego 34



W XIX w. cały powiat bytomski uległ niezwykle szybkiej industrializacji i rozwojowi demograficznemu. W 1817 r., kiedy po reformie administracyjnej przyłączono do niego m.in. miasto Mysłowice i będące wtedy jeszcze niewielką wsią Katowice, liczył on nieco ponad 25 000 mieszkańców. W czasie zaledwie 56 lat ludność ta wzrosła dziewięciokrotnie do ponad 230 000 mieszkańców. W 1873 r. zdecydowano podzielić go na cztery mniejsze: bytomski, katowicki, tarnogórski i zabrski. Pamiątką po starym, rozległym na 803 km² powiecie bytomskim, sięgającym od Miasteczka Śląskiego na północy po Katowice na południu są herby miast: Bytomia, Katowic, Królewskiej Huty (obecnego Chorzowa) i Tarnowskich Gór umieszczone w dawnej sali posiedzeń sejmiku ziemskiego, w budynku landratury (landratura to dosłownie urząd ziemski, dziś nazwalibyśmy go starostwem powiatowym). Obecnie jest to sala koncertowa im. ks. Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego w siedzibie Muzeum Górnośląskiego.

Przypomnijmy, że w końcu XIX w. siedziba urzędu ziemskiego znajdowała się przy Langestr. (obecna ul. Józefczaka 39) – budynek ten nie był jednak wystarczający dla potrzeb szybko rozwijającej się administracji. Dla nowej siedziby landratury wykupiono niezabudowaną parcelę na terenie wsi Rozbark i aby nadać budynkowi jak najświetniejsze formy zlecono rozpisanie konkursu architektonicznego. We wrześniowym numerze „Zentralblatt der Bauverwaltung” z 1896 r. ukazało się ogłoszenie konkursowe. Projekty należało przedstawić w terminie do 1 grudnia, a zachętą były nagrody na sumę 2 000 marek. Koszt całej budowy określono na 150 000 marek.

< fot. Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments



fot. Ewa Zielińska

Na konkurs wpłynęło 27 projektów i już 16 grudnia poinformowano o jego rozstrzygnięciu. Najwyżej oceniono projekt biura architektonicznego Hermann Solf i Franz Wichards z Berlina, drugą nagrodę otrzymał Walter Kern (1860-1918) z Berlina-Steglitz, trzecią – Georg Rönsch i Alfons Schneegans, obaj także z Berlina. Wyróżniono także projekty Hermanna Gutha z Berlina-Charlottenburga i Konrada Prévôta z Kassel. W Bytomiu do realizacji wybrano jednak projekt, który otrzymał drugą nagrodę. Zasady takich konkursów nie obowiązywały bowiem do realizacji zwycięskiego projektu, a często zdarzało się, że zleceniodawca miał inne preferencje niż berlińska komisja. W archiwum Uniwersytetu Technicznego w Berlinie zachowały się

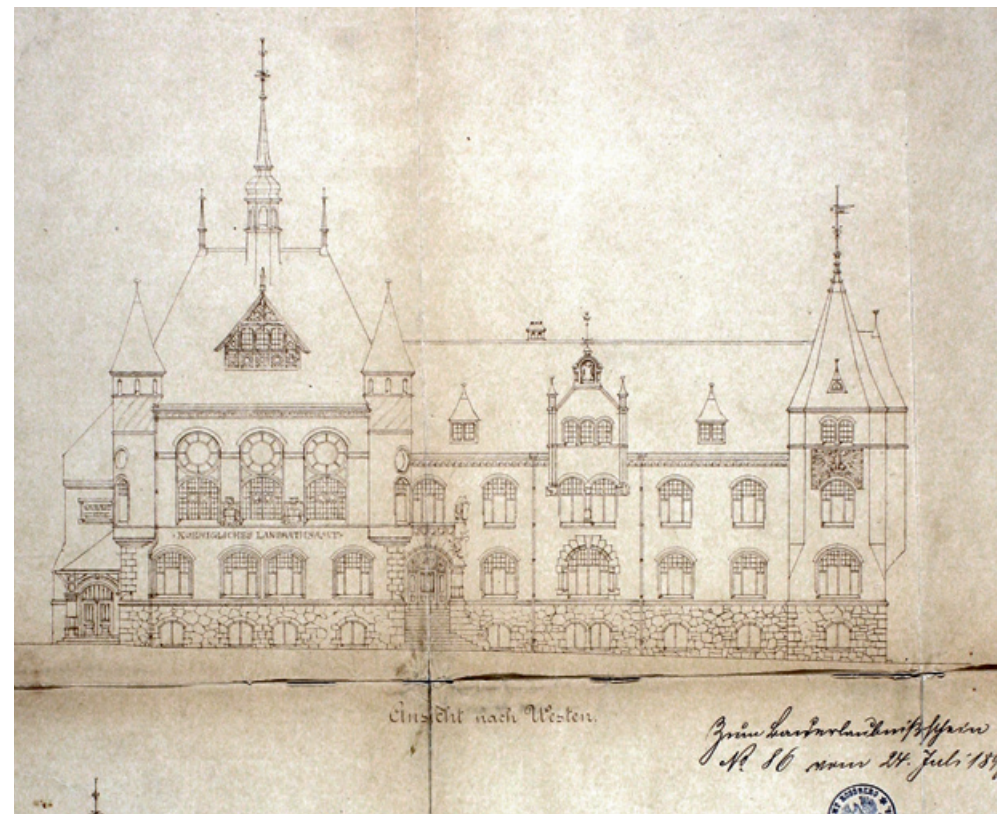
wyróżnione projekty Gutha i Prévôta. Są one podobne do zrealizowanego projektu Kerna – o malowniczej, asymetrycznej i rozczłonkowanej bryle w stylu narodowym (*Heimatstil*) bardzo popularnym w tym okresie.

Zmodyfikowany na życzenie zamawiającego projekt Kerna zatwierdzono w lipcu 1897 r., prace budowlane prowadził Robert Scherig, głównym wykonawcą była firma budowlana Konrada Segnitza, a nadzór budowlany sprawował Antoni Sobociński. Ukończone w 1899 r. prace ostatecznie kosztowały 350 000 marek. W artykule zamieszczonym w kwietniowym numerze „Zentralblatt der Bauverwaltung” z 1901 r. Kern, opisując swoje dzieło podkreślił, że budynek ma nieść niemiecką kulturę w te zamieszkałe głównie przez polskojęzyczną ludność rubieże, a kończąc dodaje popularne wówczas motto *Deutsches Haus, Deutsches Land, Schirm es Gott mit starker Hand* (*Niemiecki dom, niemiecki kraj, ochron je Boże ręką mocną*). Przy bocznym wejściu umieszczono tablicę z informacją o czasie budowy i architekcie: „Erbaut 1897-1898 von Walter Kern” oraz znak cechu murarzy (węgielnica i cyrkiel).

W 1945 r. zniszczeniu uległa większość oryginalnych witraży (obecne za wyjątkiem nielicznych ocalałych fragmentów, pochodzą z lat 80. XX w.), a nieco później zatarto niemieckie napisy i mozaikę z orłem dolnośląskich Piastów na elewacji budynku (prawdopodobnie wzięto go za orła niemieckiego). Pozostawiono natomiast wpisane w owale mozaiki z symbolami górnictwa (żelazko i pyrylik) i rolnictwa (sierp i kłosa). Po likwidacji powiatów od 1951 r. swoją sie-

dzibę miało tu Przedsiębiorstwo Miernictwa Górniczego, w 1980 r. przekazano zabudowania Muzeum Górnośląskiemu, a w 2004 r. wpisano je do rejestru zabytków pod nr A/117/04.

Budynek jest niezwykle malowniczy – tak w formie bryły jak i detalach. Na przykład na odlanej w brązie głowicy kolumny (przy głównym wejściu) w stylu protosecesyjnym możemy dojrzeć motywy: sowy, słonecznika, liści dębu i maszkaron. Podobny styl mają zdobienia holu głównego, gdzie pośród florystycznych motywów znalazły się smoki i symbole górnictwa. Warta podkreślenia jest także kolorystyka elewacji landratury oraz sąsiedniego budynku wozowni. Dominuje ceglana czerwień, z którą kontrastują zielone detale z cegły glazurowanej i drewna (stolarka okienna i drzwiowa) oraz białe powierzchnie z cegły glazurowanej i tynków. Czerwień z zielenią to charakterystyczne na górnośląskiej przestrzeni miejskiej zestawienie barw, które będzie tu jeszcze kilkakrotnie wspomniane.



Klukowitzerstr. 7 (obecnie ul. Korfanteo 34) –
Walter Kern, 1897;
źródło: Archiwum Budowlane, UM w Bytomiu

Kamienica budowniczego Eduarda Arndta

ul. Korfantego 36 / ul. Sokoła 19



Obok dawnej landratury znajduje się jedna z piękniejszych secesyjnych kamienic na Górnym Śląsku (w zasadzie jest to zespół dwóch kamienic). Zaprojektował ją dla siebie w marcu 1905 r. mistrz murarski Eduard Arndt. Prowadził on firmę budowlaną w Karbiu i by rozkręcić interes przeniósł siedzibę firmy i swoje mieszkanie bliżej centrum dynamicznie rozwijającego się miasta, naprzeciw Moltkeplatz (dzisiejszy pl. Jana III Sobieskiego), największego targowiska w Bytomiu. Już w grudniu tegoż roku budynek był gotowy i wprowadzali się do niego pierwsi lokatorzy. Ówczesny bum ekonomiczny powodował, że mieszkania, nawet te najdroższe nigdy nie stały puste. Warto przypomnieć, że przez pewien czas mieszkał tutaj także szwagier Arndta – Paul Kraus (1870-1934), kompozytor popularnych walców, nauczyciel i późniejszy dyrektor bytomskiego konserwatorium.

Budynek ma asymetryczną formę i secesyjne detale. Zdobią go wykusze i balkoniki. Okna mają zróżnicowane kształty, są potrójne lub pojedyncze, zamknięte prosto lub łukiem. Podobnie zróżnicowane są szczyty: schodkowy, trójkątny lub poprowadzone płynną secesyjną linią. Najciekawsze są jednak kolory. Czerwona cegła ze wstawkami z zielonej klinkierowej; piaskowy kolor tynków; seledynowa stolarka drzwi i okien; zielone elementy metaloplastyki – kraty, balkoniki. Bardziej wygląda to jak pomysł malarza niż architekta, co widoczne jest w pierwotnym projekcie Arndta. W trakcie budowy zmieniono jednak niektóre detale, np. narożnik od strony landratury, a w latach 30. XX w. usunięto ozdobne sterczyna. Elewację wciąż zdobi data budowy – 1905 r. Podczas niedawnego remontu odsłonięto także pozostałości malow-

< fot. Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments



Klukowitzerstr. 7 (obecnie ul. Korfantego 36) –
 Eduard Arndt, 1905;
 źródło: Archiwum Budowlane, UM w Bytomiu

deł zdobiących klatkę schodową – niestety nie zachowano ich, podobnie jak witraży w oknach klatki schodowej.

Warto dokładnie przyrzeć się oknom. Ich górne partie podzielone są szprosami na małe okienka, w które wstawiono specyficzne soczewkowe szyby w niepowtarzalny sposób mieniające się w promieniach słońca. Takie formy okien były popularne na początku XX w., będąc reminiscencją po dawnych czasach, gdy duże tafle szklane były kosztowne, a okna składały się z małych kwater z szybami o nierównej powierzchni. Mimo swojej popularności przed 100 laty dzisiaj są to jedyne takie okna w Bytomiu i prawdopodobnie jedne z nielicznych zachowanych na Górnym Śląsku.

Ulica Sokoła

Idąc dalej wzdłuż ul. Sokoła, która aż do 1945 r. nosiła nazwę Neuestr. (ul. Nowa) po lewej stronie pod nr 14 zobaczymy willę wzniesioną w 1914 r. przez Arndta, będącą później własnością Paula Kraus'a, zaś pod nr 4 – prostą w formie, czterokondygnacyjną kamienicę, której ozdoba są zestawienia intensywnych kolorów czerwieni i zieleni oraz utrzymana w dobrym stanie secesyjna snycerka bramy wjazdowej. Jedna z nielicznych zachowanych ilustracji przedstawia jak sielsko wyglądał ten teren przed industrializacją. Między dzisiejszą ul. Sokoła a kościołem św. Jacka stały wtedy drewniane, parterowe domy, nakryte przeważnie półszczytowymi dachami.

Kamienica restauratora Carla Krausego

ul. Witczaka 49



Carl Krause założył firmę w 1890 r. Prowadził tutaj restaurację, handlował winem, cygarami i artykułami kolonialnymi, wytwarzał też swoje własne alkohole. W 1910 r. w miejscu piętrowego domu zlecił zaprojektowanie okazałej narożnej kamienicy. Autorem projektu był Georg Wodarz z Bytomia, który stworzył projekt o cechach schyłkowej secesji. Bryła, podobnie jak w nieco wcześniejszych budynkach, potraktowana jest malowniczo, rozczłonkowana uskokami, wykuszami, zwieńczona szczytami i mansardowym dachem. Detale są jednak mniejsze, skromniejsze – to zapowiedź nadchodzącego funkcjonalizmu, wśród nich widoczne są motywy kwiatowe, inicjały właściciela – C.K. i data – 1910. Kamienicę zbudowała firma Konrad Segnitz, używając nowoczesnych rozwiązań, m.in. stropów z pustaków ceramicznych w miejsce wcześniej powszechnie stosowanych stropów drewnianych.

Nieopodal pod nr 43 (jest to teren, na którym do 1810 r. znajdował się folwark bytomskich minoritytów) miał swoją siedzibę Urząd Gminy Rozbark. Po przyłączeniu Rozbarku do Bytomia mieściła się tutaj Miejska Kasa OszczędnościowoPożyczkowa oraz urząd pocztowy. Niestety ten symbolizujący wiejski samorząd budynek został rozebrany po II wojnie światowej.

< fot. Paweł Szalankiewicz,
Invisible Moments

Kamienica Petera Spyry I

ul. Witeczaka 37



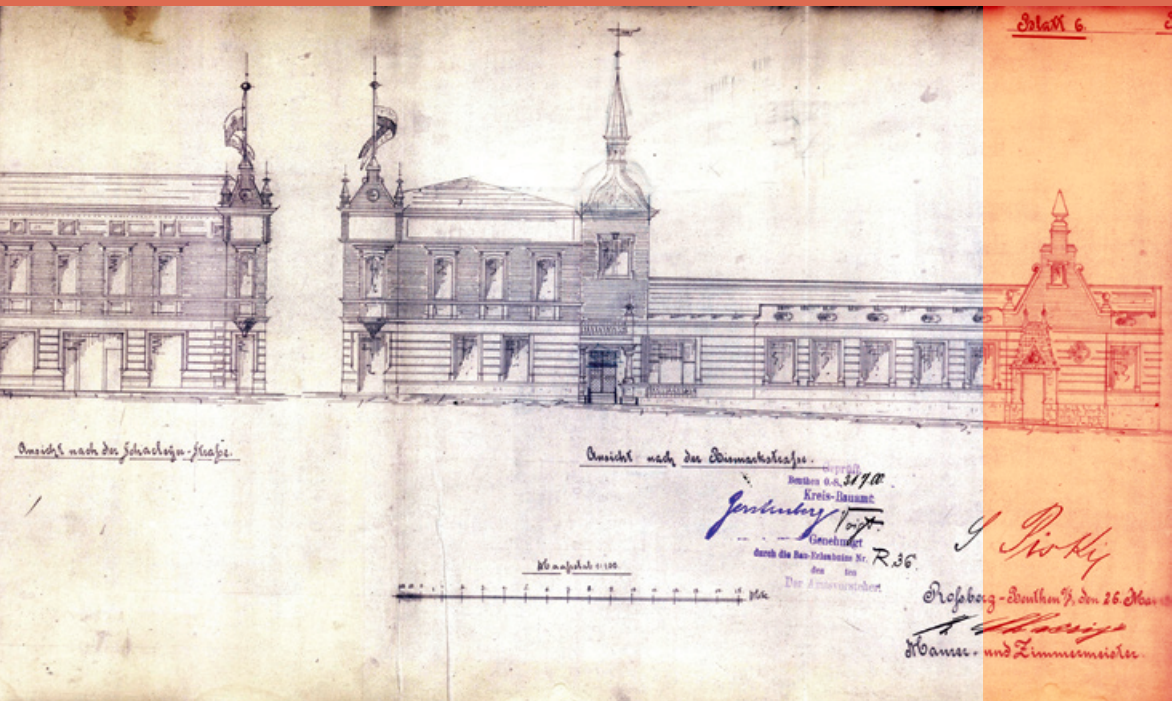
Dom przy ul. Witeczaka 37 wybudowany został w 1884 r., wg projektu Carla Bulla dla Petera Spyry I. Pierwotnie był trójkondygnacyjny i miał symetryczną, prostą fasadę, ale w 1906 r. tenże Peter Spyra zdecydował o jego rozbudowie. Projekt wykonał bytomski mistrz budowlany Wilhelm Mokross. Dom powiększono od południa (od dzisiejszej ul. Piłsudskiego), podniesiono o jedną kondygnację i poddasze, a elewację ozdobiono secesyjnymi detalami. Między innymi znalazły się tam ujęte w ozdobne ramy z motywem słoneczników symbole pracy rolnika: brona i pług, oraz towarzyszące im antyczne maski: komedii i tragedii. Dom pozostawał przez wiele lat w posiadaniu rodziny Spyra – w 1934 r. właścicielem był Hyazinth Spyra, a w 1947 r. – Elżbieta Spyra.

Do 1900 r. obok domu Spyry znajdował się dom i ogród kupca Petera Goretzkiego, ale rozbudowa Bytomia i Rozbarku wymusiła budowę w tym miejscu drogi (obecna ul. Piłsudskiego). Zabudowania Goretzkiego zostały zburzone.

< fot. Paweł Szalankiewicz,
Invisible Moments

„Palast-Theater” (obiekt nieistniejący)

ul. Witczaka 35



Ważną funkcję w życiu mieszkańców Rozbarku pełnił kolejny, nieistniejący już, budynek przy ul. Witczaka 35. W 1900 r. Salo Pisky korzystając z tego, że budynek miał od tej pory dobrą lokalizację przy drodze do centrum Bytomia zlecił rozbudowę tutejszych zabudowań. Tak powstał (projekt Georga Sippela) zajazd z malowniczą narożną wieżyczką. To atrakcyjne miejsce wielokrotnie zmieniało właścicieli i było przebudowywane. W 1918 r. powstało tu kino „Central-Theater” na 250 miejsc, które później (1926-1935) nazywało się „Palast-Theater”. Od 1937 r. budynek należał do parafii św. Jacka, od 1938 r. znajdowały się tu pomieszczenia klubowe (parafii) i lokal Caritasu. Spłonął w 1945 r.

Spyra

Przy tej okazji warto wspomnieć, że nazwisko Spyra na Rozbarku było tak popularne, że dla odróżnienia nadawano przedstawicielom rodziny dodatkowe numery. I tak książka adresowa z początku XX w. notuje czterech Peterów Spyrów i informuje, że do Paula Spyry II należał dom przy ul. Witczaka 33 (wtedy Scharleyerstr. 41 – numeracja ulegała bowiem zmianom), z kolei obok wspomnianego Petera Spyry I, pod nr 39 (wtedy Scharleyerstr. 37) znajdował się dom Petera Spyry III. Jednak najbardziej charakterystyczną kamienicę na Rozbarku wybudował Johann Spyra II.

< Scharleyerstr. 40 (obecnie ul. Witczaka 35) – Robert Schaerig, 1900;
źródło: Archiwum Budowlane, UM w Bytomiu

Kamienica Johanna Spyry II

ul. Witczaka 44



W latach 60. XIX w. działka ta należała do Jakoba Spyry, dla którego w 1872 r. mistrz murarski Albert Klehr (1826-1904) zbudował dom. Syn Jakoba, Johann Spyra II postanowił w jego miejscu wznieść znacznie większą kamienicę. Pierwszy, asymetryczny projekt wykonał w 1903 r. nieznanymi z innych prac mistrz murarski Franz Potempa, ale zrealizowany został dopiero drugi jego projekt z 1904 r.

Elewacja kamienicy wykonana jest z glazurowanej białej i zielonej cegły z charakterystycznym szczytem z dużymi powierzchniami przeszkleń. Pod szczytem znalazło się ułożone z zielonej cegły nazwisko i data budowy: „J.B. Spyra 1904”, a na drugiej kondygnacji z balkoniki z balustradami – także z glazurowanej cegły. Można domyślać się tutaj wpływów secesji, m.in. wybudowanej w 1903 r. na bytomskim rynku Starej Apteki (*Alte Apotheke*). W przeciwieństwie do tych śmiałych pomysłów, zasadnicza część czterokondygnacyjnej elewacji zaprojektowana jest jednak bardzo zachowawczo, z zamkniętymi łukiem oknami ułożonymi w sąsiadujące pary – jak w typowej XIX-wiecznej kamienicy, z tym tylko wyjątkiem, że użyto niespotykanego wcześniej rodzaju cegły. W szczycie można także zobaczyć neogotyckie słuszki wsparte na konsolach. Całość tworzy melanz o niespokojnym, silnym charakterze. Kolejnym właścicielem domu, w latach 30. XX w. był Lorenz Spyra.

< fot. Paweł Szalankiewicz,
Invisible Moments

Dom Johanna Gmyrka

ul. Brzezińska 4



Po prawej stronie pod nr 4 znajduje się dom zaprojektowany w 1914 r. przez architekta Karla Moesera dla Johanna Gmyrka. Czterokondygnacyjny (najwyższa znajduje się w mansardowym dachu), narożny, na planie litery „L”. Od strony sąsiedniej działki pozostawiono ogród, co umożliwiło doświetlenie budynku praktycznie z każdej strony. Interesująco zaprojektowano klatkę schodową na planie zbliżonym do trójkąta. Podobnie jak wcześniej opisana kamienica przy ul. Witczaka 49, dom reprezentuje pośrednie formy – między przemijającym już stylem secesji (asymetryczna, rozczłonkowana bryła) i nadchodzącym funkcjonalizmem (nieliczne i uproszczone zdobienia). Tu także wykorzystano stropy z pustaków ceramicznych. Ciekawostką samego projektu jest wyraźne zastrzeżenie autora, że jest on chroniony prawem autorskim (*Urheberrechts-Gesetzen*) wprowadzonym w 1901 r., a wówczas rzadko stosowanym. W późniejszych latach dom należał do Johanna Teichmanna (1925) i Marthy Stephan (1937).

< fot. Paweł Szałankiewicz,
Invisible Moments

Kamienica Lucji Rygoll

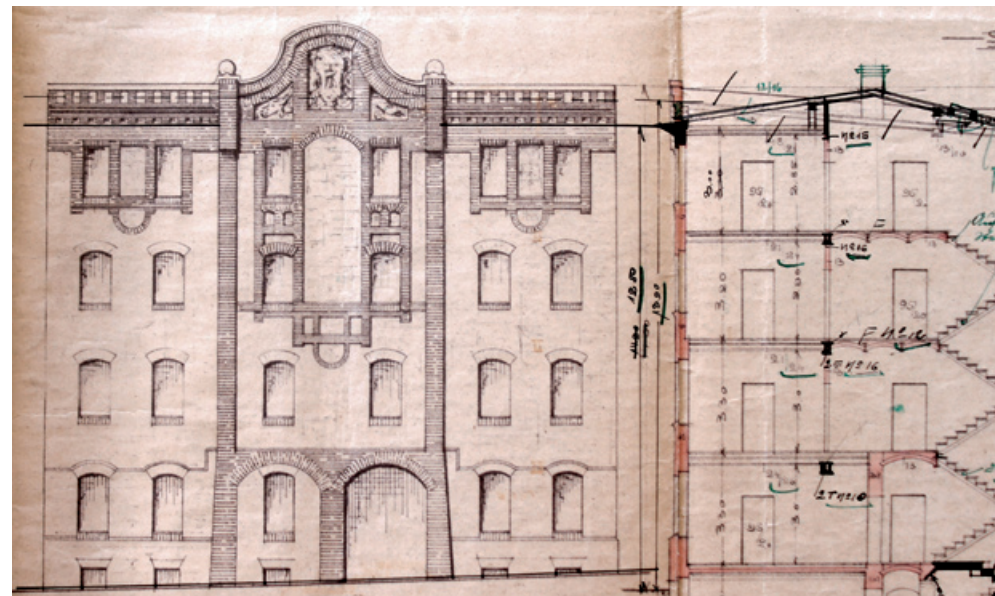
ul. Brzezińska 23



Czterokondygnacyjna kamienica z boczną oficyną została wybudowana w 1905 r. dla Lucji Rygoll wg projektu Wilhelma Mokrossa. Zastosowane tu rozwiązania przestrzenne: boczna oficyna, przejazd, ubikacje na półpiętrach – są typowe jeszcze dla XIX-wiecznego budownictwa czynszowego. Również symetryczny układ okien zamkniętych łukiem jest charakterystyczny dla starszych rozwiązań, jedynie secesyjne detale wykonane w białej i niebieskiej glazurowanej cegle wskazują, że jest to kamienica z początków XX w. Obecnie zaniedbany budynek przedstawia smutny widok ruiny grożącej zawaleniem.

< fot. Paweł Szalankiewicz, Invisible Moments

Gross Dombrowkaerstr. 32 (obecnie ul. Brzezińska 23) – Wilhelm Mokross, 1905; źródło: Archiwum Budowlane, UM w Bytomiu



Budynek maszyny wyciągowej szybu „Mauve” / „Bończyk”

ul. Chorzowska 12



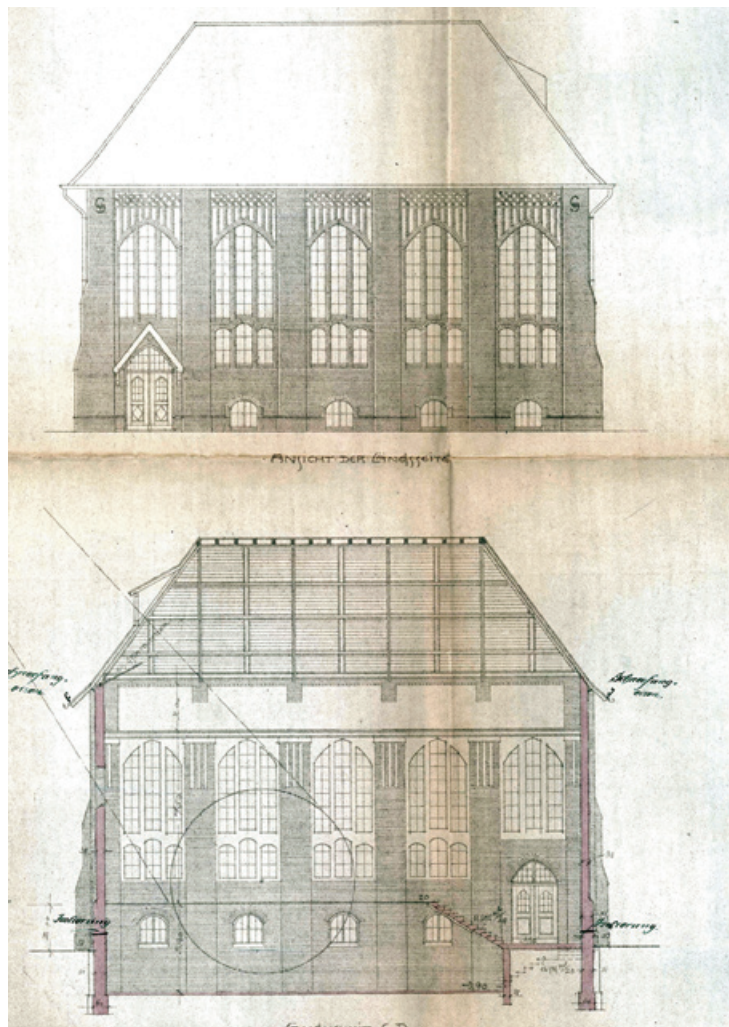
Projekty Emila i Georga Zillmannów
dla kopalni „Heinitz”

Na Rozbarku Zillmannowie dla spółki Spadkobierców Giesche zaprojektowali budynki dla kopalni cynku i ołowiu „Bleischarley” (późniejsze zakłady „Orzeł Biały”) oraz węgla „Heinitz” (późniejsza kopalnia „Rozbark”). W tym miejscu przypomnimy tylko projekty dla kopalni „Heinitz”, o tyle ważne dla poznania twórczości Zillmannów, że dotychczas częściowo nie rozpoznane jako dzieła Emila i Georga Zillmannów.

Projekt budynku maszyny wyciągowej szybu „Mauve” („Malwa”), później przemianowanego na „Bończyk”, powstał w Charlottenburgu w marcu 1907 r. Prostokątnej ceglanej hali nadali Zillmannowie całkowicie wówczas niemodne formy neogotyckie, co świadczy o odwadze i niekonwencjonalności podejścia projektantów. Dłuższe ściany przecięły duże okna podzielone laskowaniem i arkadkami, zamknięte obniżonymi łukami ostrymi (*gedrückter Spitzbogen*). Nad oknami znalazły się blendy ozdobione prostymi ceglanymi maswerkami. W krótszych ścianach znalazły się m.in. małe blendy w formie tarcz herbowych – jako reminiscencje po gotyckich zamkach. Wejście do budynku ulokowano asymetrycznie w ścianie północnej. Tak jak okna zamknięte jest ono obniżonym łukiem ostrym i dodatkowo osłonięte dwuspadowym daszkiem. Malowniczości budynkowi nadał kontrastowe zestawienie barw – dominującej ceglanej czerwonej i nasyconej zieleni zastosowanej w detalach: drewnianych drzwiach

< fot. Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments

Projekt budynku
maszyny
wyciągowej –
E. & G. Zillmann;
źródło:
Archiwum
Budowlane,
UM w Bytomiu



oraz daszku, ceglanych wypełnieniach blend i pulpitowych parapetach. Budynek został w 2007 r. wpisany do rejestru zabytków jako jedna z czterech części „Zespołu zabudowy rejonu głównego dawnej kopalni Rozbark” pod nr A/213/07 – niestety jego stan z roku na rok się pogarsza.

fot. Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments



Budynek cechowni

obecnie siedziba Bytomskiego Teatru Tańca i Ruchu ROZBARK

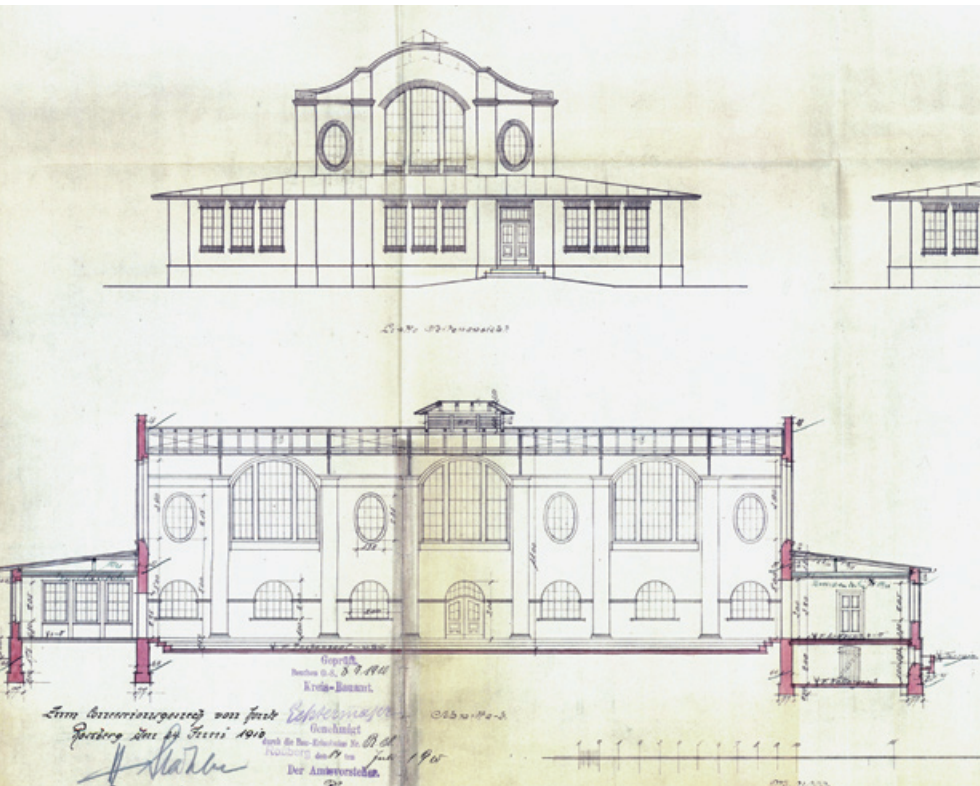
ul. Kilara 29



Pierwotny projekt cechowni powstał w maju 1910 r. Tak jak wcześniej opisany budynek maszyny wyciągowej zbudowany został on z cegły, lecz w zgoła innym stylu – neobarokowym. Centralna sala zborna posiada charakterystyczne okna, których łuki wznoszą się ponad zasadniczy gzyms budynku, tworząc malowniczą falującą linię, którą Zillmannowie powtórzyli w większej skali w cechowniach i maszynowniach kopalni „Gliwice” w Gliwicach i „Giesche”. Główne okna alternowane są mniejszymi – elipsoidalnymi, które razem z bocznymi szczytami podkreślają neobarokowe formy. Oryginalnie zaprojektowano drewniane stropy, których linie także dostosowano do falującej linii ponad oknami. Wnętrze sali zbornej wyłożono białą i zieloną glazurowaną cegłą. Wokół niej rozmieszczone są znacznie niższe pomieszczenia biurowe nakryte dachami pulpitowymi, a główne wejście ulokowano od strony wschodniej. Tak jak w budynku maszyny wyciągowej, formy budynku zostały podkreślone kontrastującą kolorystyką: zielono-czerwoną na zewnątrz i białą-zieloną we wnętrzach.

Zasadniczo symetryczne formy budynku zostały zakłócone późniejszymi przebudowami od strony zachodniej. Cechownia została wpisana w 2007 r. do rejestru zabytków jako część „Zespołu zabudowy rejonu głównego dawnej kopalni Rozbark”. W tym samym roku usunięto z cechowni ołtarz św. Barbary z obrazem E. Grossmanna z Berlina (przekazany parafii św. Jacka na Rozbarku).

< fot. Paweł Szałankiewicz,
Invisible Moments



Projekt cechowni – E. & G. Zillmann, 1910;
źródło: Archiwum Budowlane,
UM w Bytomiu

W 2012 r. przeprowadzono „Rewitalizację terenów po byłej KWK Rozbark – Etap I budynek cechowni i administracyjny”. Szkoda, że w ramach działań usunięto część substancji zabytkowej budynku: stropy, dachy, stolarkę okienną i drzwiową, a także przylegający metalowy płot o secesyjnych formach.

fot. Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments



Budynek mieszkalny dla urzędników kopalni

ul. Miarki 36

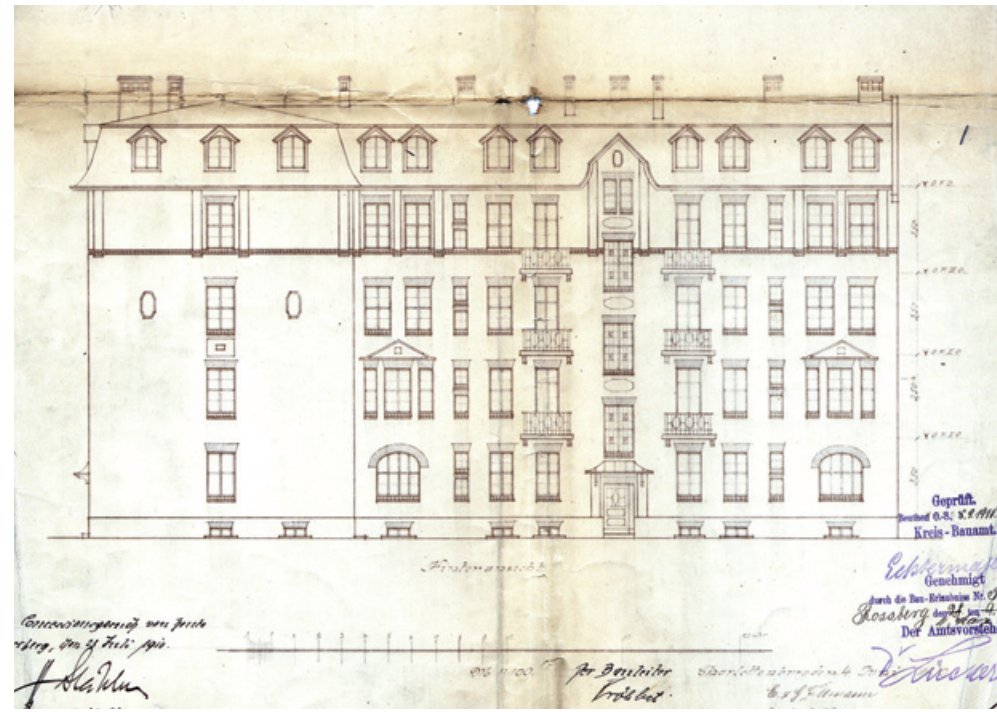


W czerwcu 1910 r. powstał projekt budynku mieszkalnego dla urzędników kopalni „Heinitz”. Zbudowano go przy Bergstr. (obecnie ul. Miarki 36) na samej granicy Rozbarku i Bytomia. Jest to czterykondygnacyjna kamienica z wysokim poddaszem (po 1945 r. zaadaptowanym na cele mieszkalne) o ceglanych elewacjach i formach zapowiadających już nadchodzący funkcjonalizm. Dom składa się z 2 brył: zasadniczej na planie prostokąta oraz przesuniętej względem niej mniejszej bryły na planie kwadratu. Większa bryła jest symetryczna, ale mniejsza dodaje jej asymetrycznej dynamiki. Elementy ozdobne ograniczone są do prostych wzorów ułożonych w cegle. Warto porównać ten projekt do wcześniej opisanego, a zbudowanego w tym samym 1910 r., domu przy Scharleyerstr. 39 (Witczaka 49). Porównanie ukazuje jak śmiało i nowoczesne są projekty Zillmannów w stosunku nawet do udanych projektów miejscowych budowniczych. Są one proste, a zarazem eleganckie. Budynek nie jest wpisany do rejestru zabytków, ale zachowany w dobrym stanie z wyjątkiem całkowicie wymienionej stolarki okiennej.

< fot. Paweł Szalankiewicz,
Invisible Moments



Bergstr. (obecnie ul. Miarki 36) –
E. & G. Zillmann, 1910,
źródło: Archiwum Budowlane,
UM w Bytomiu



Bergstr. (obecnie ul. Miarki 36) –
E. & G. Zillmann, 1910,
źródło: Archiwum Budowlane,
UM w Bytomiu



>
fot. ze zbiorów
Doroty Nowickiej



ROZDZIAŁ III
ROZBARK – HISTORIA MÓWIONA

Małgorzata Sprot, z domu Tokarz.

Emerytowana nauczycielka przedszkolna. Pracowała
m.in. jako dyrektorka przedszkola nr 27 na ul. Axentowicza.



To nie pierwszy wywiad, jakiego udziela Pani nt. historii swojej rodziny. Jak to się stało, że Pani rodzina jest już tak dobrze znana?

Wszystko zaczęło się od przypomnienia zdjęcia z 1902 r., przedstawiającego złote wesele moich przodków – Jakóba i Ewy Tokarz. Zdjęcie zostało zrobione pod murem kamienicy, który widać z okna tego pokoju. Moja rodzina na Rozbarku obecna jest jednak znacznie dłużej. Najprawdopodobniej od XVI w., jak wspomina Gramer w swojej kronice.

Najpierw przekazałam to zdjęcie do Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, a następnie pan Piotr Mankiewicz, Dyrektor Muzeum Chleba w Radzionkowie zainteresował się nim i puścił je dalej w obieg. Myślę, że wiele osób na Rozbarku także ma w swoich szufladach schowane przeróżne takie pamiątki. Tylko, że ich nie pokazują i trzeba by do tych osób jakoś dotrzeć. Ja uświadomiłam sobie, że jeśli będę o tym opowiadać i dzielić się z innymi własnymi wspomnieniami, to coś ze mnie pozostanie i będzie to z pożytkiem dla potomnych.

< Małgorzata Sprot w ogrodzie
przy domu rodzinnym przy ul. Witeczaka;
fot. Małgorzata Krakowiak

Johann Tokarz
z żoną;
fot. ze zbiorów
Małgorzaty Sprot



Jeśli wspominamy Rozbark, to pojawia się oczywiście strój rozbarski, ważny dla wielu mieszkańców, także dla Pani rodziny?

Tak. Ale opowiadanie o swojej kulturze to także wyjście z kompleksów. Bo dziś ubieranie stroju rozbarskiego oznacza coś zupełnie innego niż kiedyś. Kiedyś to była codzienność. A do tego strój kojarzono z pewnego rodzaju zacofaniem – bo to było ubieranie się po chłopsku. Dziś ubierając się w strój rozbarski jesteśmy dumni i czujemy się w nim piękni. Na szczęście zachowałam wiele z tych rodzinnych pamiątek. Chociaż kiedyś pewnie nie spodziewałam się, że będą mogły jeszcze po latach kogoś zainteresować. Właściwie nasz dom jest wypełniony pamiątkami.

Bardzo ważne dla stroju rozbarskiego było nakrycie głowy. Mój dziadek nosił zimą tchórzówkę – czapkę zrobioną z futra tchórzka. A kobiety z mojej rodziny nosiły purpurki – płócienne chustki w czerwonym kolorze, ozdobione wzorami z róż. Od święta ubierały białe czepce – bardzo ważne było, aby je należycie wykrochmalić. Dziś już nie ma osób, które potrafiłyby nadać tym czepcom właściwy kształt i sztywną formę. Dziewczęta nosiły na głowie nakrycie zrobione z mirtowych bukietów, które symbolizowały niewinność. Mirta zastępowana była czasem bukszpanem. Uszy przykrywały tak zwane kłapy, zrobione z kilku warstw sfałdowanych wstążek. Włosy spinane były metalową blaszką – szpangą. Wstążka była także niezbędnym elementem stroju – miała różne kolory, wzory i szerokości. Często pojawiały się na nich róże. Być może miało to jakiś związek z pochodzeniem nazwy Rozbarku – Rosberg.

Barbara i Felix Tokarz w strojach rozbarskich; fot. ze zbiorów Małgorzaty Sprot



Gerturda i Maria Tokarz w strojach rozbarskich w różnych nakryciach głowy; fot. ze zbiorów Małgorzaty Sprot

Matka Franciszka Tokarz
(z d. Malik)
z kozą, która do lat 50. była nieodzowną żywicielką w wielu rodzinach;
fot. ze zbiorów Małgorzaty Sprot



Kolejne ważne pytanie, którego nie powinno zabraknąć w rozmowie o historii Rozbarku to, czy dla pani był on bardziej wsią, czy miastem?

Nasz dom, w którym się teraz spotykamy – przy ul. Witczaka 28 – został wybudowany przez moich przodków najprawdopodobniej w 1897 r. I tak jak w wielu miejscach na Rozbarku mamy przy domu swój ogródek. W ogródkach gospodarze uprawiali warzywa i owoce. My na przykład mieliśmy agrest, czarną porzeczkę i winogrona. A do dziś w naszym ogrodzie zachował się budynek po dawnej stodole, jedna z niewielu pozostałości po gospodarstwie. Owszem, Rozbark miał początkowo rolniczy charakter – także moi przodkowie uprawiali pole, hodowali zwierzęta. Bardzo dobrze wspominam podwórko z mojego dzieciństwa – tętniło życiem. Mieliśmy kozy, krowy, a także gołębie. Tutaj też bawiłam się ze swoimi koleżankami i kuzynkami. Ale z drugiej strony jak tylko wychodziłam z podwórka, to czułam się jak w mieście. Owszem, z polem miałam zawsze coś wspólnego, ale przede wszystkim czułam się mieszkanką miasta. No i ten sam ogród, w którym uprawiało się warzywa był też ogrodem rekreacyjnym. W nim odbywały się najważniejsze spotkania rodzinne. W ogrodzie grało się na mandolinie i skrzypcach, piło kawę.

Kiedy znajoma naszej córki odwiedziła nas po raz pierwszy i zobaczyła ten ogród, nie mogła uwierzyć, że tu może być tak zielono. Przyznała, że miała zupełnie inne wyobrażenie o Rozbarku, który znała tylko przejeżdżając przez ul. Witczaka. To też pokazuje jak wielkie znaczenie ma ta ulica dla Rozbarku.



Antoni i Teodor Tokarz w przydomowym ogrodzie; fot. ze zbiorów Małgorzaty Sprot

Właściwie Rozbark przestawał być wsią już na początku XX w. W tym miejscu, gdzie się spotykamy od samego początku stała kamienica. Po sąsiedzku powstawały kolejne. Uliczki były tutaj bardzo wąskie, przez to, że ta zabudowa była gęsta. No i jeździł tramwaj – z Dąbrówki aż do Piekar. Stopniowo coraz więcej ludzi znajdowało zatrudnienie w górnictwie. Dlatego za pracą przyjeżdżali kolejni ludzie – także ze wsi. I tak powstawały następne domy – ale nie familoki tylko kamienice właśnie. Moja najbliższa rodzina była także związana z górnictwem – ojciec i brat pracowali na kopalni.

Nikt nie ma wątpliwości, że współczesny Rozbark jest już inny. Wiele miejsc już nie istnieje. Dlatego tym bardziej warto wspomnieć o tych, które wciąż pełnią ważne funkcje dla dzielnicy.

Tak, miejscem na pewno bardzo ważnym dla Rozbarku jest kościół św. Jacka wraz z ogrodem różańcowym. Nawet dla tych, którzy wiele lat temu wyjechali z Rozbarku kościół św. Jacka jest miejscem, za którym tęsknią, do którego mają wciąż emocjonalny stosunek. Przy tej okazji warto wspomnieć, że w naszej rodzinie też były powołania kapłańskie. Brat mojego ojca, Józef Tokarz, został księdzem. Studiował teologię w Pradze. Został wikarym w Wambierzycach, a następnie proboszczem w Czermnej, dzielnicy Kudowy-Zdrój.

Wyprawa rowerowa „Marianek” z kościoła św. Jacka, pierwsza z prawej Gertruda Tokarz; fot. ze zbiorów Małgorzaty Sprot





Chata przy obecnej ul. Witczaka 30
(przypuszczalnie koniec XIX w.);
fot. ze zbiorów Małgorzaty Sprot



Johann Tokarz przy kościele
św. Jacka
wspomaga
potrzebującego;
fot. ze zbiorów
Małgorzaty Sprot

Ale wracając do Rozbarku, pomimo upływu czasu, tutaj wciąż używa się takich sformułowań, że idzie się do Respondka, Zolmana czy Warkocza. A to są oczywiście nazwy sprzed wojny. Mieliśmy tu też piekarnię Gmyrek, a na ul. Alojzjanów restaurację Pawelczyk. Kiedyś dla Rozbarku duże znaczenie miały także szkoły – nr 7, męska (nieistniejąca, ul. Alojzjanów – przyp. Red.) i nr 8, żeńska (nieistniejąca, ul. Musialika – przyp. Red.). W czasach swojej świetności miała ogromne znaczenie, a teraz już tak niewiele z niej pozostało. Ja chodziłam do szkoły nr 9, która była koedukacyjna.

Kiedyś ul. Witczaka tętniła życiem. Ile tutaj było szynków. Po całym dniu pracy ludzie po prostu spotykali się i kończyli dzień pogawędką. W naszej najbliższej okolicy na Witczaka na przestrzeni jakichś 100 m były aż cztery szynki, które działały przez wiele lat. Tutaj był też złotnik, aptekarz. Do czasów powojennych funkcjonowała na Rozbarku drogeria „U Mikiety”. On miał wszystko – tak zwane *hasie szkło i bele co*. Była też poczta, przedszkole, kino – przed wojną na ul. Sokoła, a po wojnie kino „Rozbark” przy ul. Alojzjanów. No i działały też różne stowarzyszenia i zrzeszenia.



Małgorzata Sprot
z mężem i córką;
fot. Małgorzata
Krakowiak

Co Pani zdaniem mogłoby pomóc Rozbarkowi?

Tam jest życie, gdzie spotykają się ludzie. To właśnie ul. Witczaka mogłaby stać się – jak kiedyś – taką ulicą reprezentacyjną. I zmienić wizerunek dzielnicy. Dlatego bardzo dobrze, że mamy Centrum Gorczyckiego działające przy parafii św. Jacka, w którym bardzo dużo się dzieje. Tutaj ludzie mogą się spotykać – na przykład na kawę i ciastko po niedzielnej mszy świętej, a raz w miesiącu w czwartek można przyjść na koncert. Organizowane też są zajęcia dla różnych grup wiekowych.

Rozbark mógłby być też bardziej zielony. W naszym ogrodzie mieliśmy w przeszłości wielki różany łuk i wiele krzewów. Więc róże były obecne w naszej codzienności – w stroju rozbarskim, ale także w naszym ogrodzie. Ta róża mogłaby stać się czymś charakterystycznym dla dzielnicy i zmieniać ją.

Dziękuję za rozmowę.



Johann Tokarz w zimowym stroju rozbarskim w ręku trzyma tchórzówkę; fot. ze zbiorów Małgorzaty Sprot

Leon Wostal, czynny zawodowo górnik w Węglokoks Kraj Sp. z o.o. Oddział KWK Bobrek-Piekary. Miłośnik historii – szczególnie zafascynowany genealogią śląskich rodzin i fotografią; kolekcjoner przedmiotów związanych z historią Śląska; organizator wielu wystaw i współtwórca publikacji poświęconych regionalnej historii.



Jakie są Pana związki z Rozbarkiem?

Z Rozbarkiem związany jestem dzięki rodzinie od strony mamy. Urodził się tu mój pradziadek i jego potomkowie. Urodziłem się też i ja. Moja babcia z domu nazywała się Drendzla, po mężu Ryszka. Moja rodzina była związana z Sedanstr., później zwaną Średnią, a obecnie ul. Sandomierską. Mama urodziła się na sąsiedniej Karlstr., obecnie ul. Wesoła. Mój ojciec natomiast pochodzi z Piekar. Chodziłem do Szkoły Podstawowej nr 13 w Bytomiu i z tego okresu mam najlepsze wspomnienia. Gdy miałem 18 lat wyprowadziliśmy się z rodzicami właśnie do Piekar.

A po wyprowadzce wracał Pan tu jeszcze?

Oczywiście. Chociaż w Piekarach mieszkam do dziś. Wracałem na Rozbark m.in. na Boże Ciało – bo dalej podobały mi się tutejsze obchody. Bardzo byłoby mi szkoda, aby poszedł w niepamięć cały ten czas, kiedy mieszkaliśmy na Rozbarku. Dlatego do dziś zbieram pamiątki związane z historią Rozbarku. I przez ten cały czas czekałem aż się ktoś odezwie, kogo to zainteresuje. I tak na szczęście pojawił się wy. Jestem też kolekcjonerem pamiątek piekarskich. Ale to już inna historia.

A skąd pochodzą Pana zbiory?

Część mam od rodziny. Część to po prostu moje wspomnienia, które spisuję. A część trafia do mnie przypadkiem. Najlepszy sposób na zachowywanie pamięci, to opowieść. Już nawet zacząłem pisać

< fot. Małgorzata Krakowiak

książkę pt. „Rojber z Rozbarku”. Niestety wciąż nie mam czasu, aby ją skończyć i pieniędzy, aby ją wydać. Bardzo zależy mi też na tym, aby zostało opisane w niej mieszkanie w familoku na Rozbarku. No i trzeba będzie też włożyć sporo pracy w tłumaczenie tej książki – bo oczywiście piszę ją po śląsku.

A komu chciałby Pan przekazać swoją wiedzę nt. przeszłości Rozbarku?

Przed wszystkim ludziom młodym. Bo powinni się dowiedzieć, jak to kiedyś było na Rozbarku. Bo to może pójść w niepamięć.

Zatem zapytam Pana jako znawcę tematu – czy Rozbark coś wyróżnia lub wyróżniało w przeszłości?

Dużo rzeczy. Oczywiście stroje rozbarskie. Ale także obecność kopalni – tutaj prawie wszystko stało na węglu. No i trzeba pamiętać, że kiedyś Rozbark był piękny. Wszystko było jakby ustawione od linijki. No i te piękne kamienice w części, gdzie mieszkaliśmy – czy to na ul. Witczaka, czy na ul. Mickiewicza. Kiedyś inne było też życie na Rozbarku – dzieci bawiły się razem na placu, panowie grali w skata i pili sobie „ćwiarteczki”, po pracy dbali też o to, co hodowali na placu, czyli przeważnie gołębie i króliki. A jak się poszło do kościoła, to wszyscy się dobrze znali. Tęgo świata nie da się już odtworzyć. Nawet mówiło się innym językiem – ni to polskim, ni to niemieckim.



Chłopięcy chór przy kościele św. Jacka, dyrygent Irma Banisz; fot. ze zbiorów Leona Wostala



Rozbarska
procesja;
fot. ze zbiorów
Leona Wostala

Niewątpliwie język określa w jakimś stopniu naszą tożsamość. Zatem kim czuli się Pana przodkowie?

Trudno powiedzieć. Moja matka niby bardziej czuła się Niemką. Natomiast babcia czuła się bardziej Ślązacczką. A mój tata nie lubił Niemców – bo był przez jakiś czas w Wehrmachcie. Potem przeszedł do Armii Andersa, bo chciał wrócić do ojczyzny.

Jak już rozmawiamy o ojczyznach i tożsamości, czy sądzi Pan zatem, że możliwy jest powrót do myślenia w kategoriach „małych ojczyzn”?

Tak, mam taką nadzieję. Dlatego też robię to, co robię. Opowiadam, edukuję. Zachęcam młodych, aby jak najwcześniej zainteresowali się historią miejsca, w którym się urodzili i wychowali. Zresztą widać to już wśród osób z mojego pokolenia – ludzie coraz chętniej szukają swoich korzeni, zbierają rodzinne pamiątki. Przyjeżdżają po to też z Niemiec. Takich osób jest coraz więcej. W Piekarach dzieje się to samo.

A co z tożsamością ludzi, którzy mieszkają na Śląsku od kilkudziesięciu lat?

Ostatnio leżałem w szpitalu na jednej sali ze starszym panem ze Lwowa, który przyjechał tutaj jako dziecko rok po wojnie. Przez całe życie pracował jako taksówkarz. I proszę sobie wyobrazić, że to co ja wiem o Śląsku, on też wiedział, a czasem nawet więcej. Kiedy ja zapomniałem jakichś nazw po śląsku, on mi je przypominał. Znał te same gry z dzieciństwa, wiedział jak wyglądało mieszkanie w fami-
loku – izba, kuchnia, sień na Rozbarku. Bo on już całkowicie wrósł w tę rzeczywistość. Dlatego myślę, że niektórych takich ludzi można nazwać nowymi Ślązakami.

Dziękuję za rozmowę.

Marianna Cofala, z domu Końdek; emerytka, pracowała 40 lat w Narodowym Banku Polskim, oddział w Bytomiu. Przez całe życie bardzo mocno związana z kościołem św. Jacka i z działającymi przy nim organizacjami. Od 15 roku życia należy do parafialnego chóru, w którym śpiewa do dziś. Aktywnie udziela się także w parafialnym klubie seniora.



Skąd się Pani wywodzi?

Moja rodzina mieszka na Rozbarku od trzech pokoleń. Dziadkowie – Magdalena i Antoni – wybudowali w 1905 r. kamienicę przy ul. Alojzjanów 12. Istnieje ona do dnia dzisiejszego i jest w całkiem dobrym stanie. Dziś mieszkają tutaj moje dzieci. To jest czynszowa kamienica, która powstała także z myślą o wynajmie. Miała jednak wiele zabudowań gospodarczych – bo moi dziadkowie posiadali gospodarstwo, w którym były konie i krowy, świnię, owce oraz drób. Uprawiali też pole – tam, gdzie teraz jest wysypisko śmieci, po drugiej stronie drogi nr 911.

Dziadkowie jako właściciele mieszkali w osobnym budynku – ponad 100 m². Mieszkania w kamienicy miały ok. 30-40 m². W budynku właściciele najpierw wchodziło się do sieni, a stąd w prawo do kuchni, następnie do pomieszczenia gospodarczego, w którym przygotowywało się karmę dla bydła. Po lewej stronie sieni znajdowała się natomiast część mieszkalna. Były to trzy pokoje, tzw. pociąg – z jednego pokoju przechodziło się do następnego. Pamiętam też, że w każdym z tych pokoi znajdował się piękny piec kaflowy. Do tej pory zachował się już tylko jeden.

Do dziś przetrwały w oryginalnym kształcie stodoła, szopa oraz chlewiki, czyli komórki na węgiel. Kiedyś był też gnojok – na jego miejscu znajduje się dziś pomieszczenie gospodarcze. Na wielu innych podwórkach na Rozbarku zachowały się jeszcze chlewiki. Mamy wciąż ogród, za którym znajduje się nasze pole – oczywiście już dziś nieużytkowane. Część pól została odebrana moim dziadkom.

< Marianna i Helmut Cofala przed rodzinną kamienicą przy ul. Alojzjanów od strony podwórka; fot. Małgorzata Krakowiak



Marianna z matką Ireną i babcią Magdaleną w przydomowym ogrodzie przy ul. Alojzjanów; fot. ze zbiorów Marianny Cofali

Tyle, że za odszkodowanie mogli sobie kupić mały telewizor. Mój ojciec pracował na kopalni, a moja mama zajmowała się domem, pomagając w gospodarstwie u dziadków.

Jak wyglądał Rozbark Pani młodości?

Cała nasza młodość skupiała się przy parafii św. Jacka, m.in. w nieistniejącej już salce parafialnej przy ul. Witeczaka. Tutaj spotykała się młodzież, „Sodalicia Mariańska”. Działo też stowarzyszenie męż-



czyn znane „Alojziki” („Towarzystwo św. Alojzego w Bytomiu” – przyp. Red.), a także „Marianki” („Dzieci Maryi” – przyp. Red.).

Ówczesny chór parafialny liczył 70 osób. Właściwie całe centrum kulturalne parafii skupiało się w tym miejscu. Dziewczyny wyszywały, chłopcy grali w siatkę, ping-ponga, piłkę nożną. Graliśmy też przedstawienia teatralne. Dlatego w salce powstała specjalna prowizoryczna scena. Jeździliśmy też z naszymi przedstawieniami do innych kościołów w Bytomiu – pomimo, że wtedy trwała walka

Rodzina przed domem Antoniego i Magdaleny Końdek (w środku) przy ul. Alojzjanów, zdjęcie z okazji uroczystości komunijnej, l. 50.; fot. ze zbiorów Marianny Cofali

z kościołem. A raz nawet zdarzyło się – to było na Karbiu – że musieliśmy uciekać przed milicją. A mimo to bardzo dużo młodzieży było związanej z parafią. Wiele z tych osób łączyło się potem w pary małżeńskie. Tak jak ja i mój mąż.

Znaczna część tych ludzi wyjechała jednak do Niemiec. A jak wracali na Rozbark w odwiedziny, to zwykle na święta, na Triduum Paschalne. I jak przyszło do wspomnienia Rozbarku, to najbardziej brakowało im właśnie kościoła św. Jacka.

A jak układały się wtedy stosunki między Ślązakami a napływową ludnością?

Na początku było różnie. Trzeba było się trochę dotrzeć. Każdy miał inne przyzwyczajenia i inne tradycje. Na przykład bardzo różniła się kuchnia. Tutaj na Rozbarku nie znano pierogów i gołąbków. Pewnego razu zaprosiła mnie do siebie koleżanka, której rodzina była z Kresów. I właśnie wtedy jadłam u niej po raz pierwszy w życiu gołąbki. Kiedy wróciłam do domu i powiedziałam mamie, że jadłam gołąbki, to się zdziwiła: - A skąd oni mieli gołąbki?

U nas jadło się m.in. wodzionkę, grochówkę i panszkraut. W piątek były przeważnie kartofle i maślonka. Pamiętam jeszcze jak moi dziadkowie ją robili. Działo się w specjalnym drewnianym naczyniu mleko i oddzielnie powstawało masło, a ta reszta to była maślonka. Tradycyjnie w każdą sobotę na obiad był żur. Potem sama to regularnie praktykowałam w mojej rodzinie. Kiedyś zapytałam mojego dorosłego i żonatego już wtedy syna, czy zjadłby żuru. A on

mi odpowiedział: - Mamo, ja już się najadłem tego żuru na całe życie. Żur był „żonaty” lub „samotny”. Żonaty – gdy gotuje się go razem z kartoflami pokrojonymi w kostkę, a samotny – osobno z tłuczonymi kartoflami, które kładzie się na środku talerza i zalewa żurem. No i jeszcze były placki pieczone na blasze. Ale do tego był potrzebny odpowiedni piec. Ciasto robiło się jak na placki ziemniaczane, a upieczone smarowało masłem. Jakie to było pyszne! A na obiad nie-

Ołtarz z okazji Bożego Ciała przy ul. Alojzjanów tradycyjnie stawiany przez rodzinę Końdek, a współcześnie tradycja kontynuowana przez rodzinę Cofala; fot. ze zbiorów Marianny Cofali



dzielny na Rozbarku podawało się przeważnie rosół z makaronem, roladę i kluski polskie, a do tego kapustę czerwoną lub kiszoną gotowaną. Polskie kluski robi się na pół z tartych surowych kartofli, na pół z gotowanych. Są ciemniejsze od klusek śląskich. A na Wigilię nie podawało się pierogów tylko kartofle, kiszoną kapustę i rybę pieczoną – zwykle karpia, no i oczywiście zupę rybną z grzankami, siemieniotkę, makówki, moczkę, duszoną kiszoną kapustę i kompot ze suszu.

W czym jeszcze przejawiała się tradycja rozbarska?

Tradycja rozbarska to przede wszystkim więź rodzinna i przywiązanie do kościoła – do parafii św. Jacka. Ale także przywiązanie do miejsca, w którym człowiek się urodził. Ja nie wyobrażam sobie, żeby mieszkać, gdzie indziej, chociaż raz podjęłam taką decyzję. Z mężem nie mogliśmy zamieszkać w kamienicy moich dziadków, gdyż właściciel nie miał wtedy prawa wyboru lokatorów. Dlatego musieliśmy zmienić miejsca zamieszkania. Pół roku po ślubie nadarzyła się okazja, żebyśmy dostali mieszkanie spółdzielcze w Brzezinach – dzielnicy Piekar Śląskich. Mieszkanie było super – dwa pokoje z kuchnią. Początkowo jednak nie mogłam sobie wyobrazić jak ja tam mam mieszkać? No, ale jakoś przeżyliśmy w tych Brzezinach 3 lata. Przez cały ten czas do kościoła jeździliśmy do parafii św. Jacka, a ja marzyłam, aby wrócić na nasz kochany Rozbark.

Kolejną taką tradycją jest oczywiście strój rozbarski. Jednak autentycznych strojów na Rozbarku już prawie nie ma. Zachowały się



m.in. męskie stroje u rodziny Kroczków. Ten prawdziwy strój był przepiękny. Ale samo przygotowanie nakrycia głowy zajmowało mnóstwo czasu. U dziewcząt były to mirtowe bukieciki, które nakładało się na kłapy, czyli kilka warstw szerokich wstążek, ułożonych w fałdy, które przysłaniały uszy. Trzeba było rano wstać i iść do pań, które upinały mirt i wstążki. Zajmowały się tym panie Madeja i Koszykowa. Chodziłam w stroju jako dziecko na pielgrzymki do Piekar Śląskich oraz na oktawę Bożego Ciała. I pamiętam właśnie, że przez to upięcie

Procesja w tradycyjnych strojach rozbarskich podczas oktawy Bożego Ciała w parafii św. Jacka; fot. ze zbiorów Marianny Cofali

nieraz głowa bolała mnie cały dzień. Dlatego właściwie nie lubiłam być ubrana w ten strój. Pamiętam też, że moja babcia chodziła w zupełnie innym stroju na co dzień, a w innym od święta. No i na co dzień ubierała chustkę, a od święta – czepiec lub purpurkę. A pięć lat temu moja wnuczka Magda szła do komunii właśnie w stroju rozbarskim.

Jedną z najważniejszych rozbarskich tradycji jest dla mnie i mojego męża parafialna pielgrzymka na Górę św. Anny. I dopóki będziemy żyć i zdrowie nam pozwoli, to będziemy tam z mężem jeździć.

Może Pani opowiedzieć więcej o tradycji pielgrzymowania ?

We wrześniu jeździmy zawsze na czterodniową pielgrzymkę na Górę św. Anny – na Odpust Podwyższenia Krzyża Św. Cały rok już się na to cieszymy. Święta Anna to jest nasza oma (babcia). Nasi przodkowie tam chodzili. My to kontynuujemy. I nasze dzieci także. To jest tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie. Dzięki temu zachowywana jest ciągłość.

Kiedyś pielgrzymowanie było jeszcze trudniejsze. Na Górę Św. Anny jechało się pociągiem do miejscowości Szymiszów, a stamtąd chodziło się pieszo – 9 km, w towarzystwie orkiestry, ze śpiewem na ustach. Dziś jedziemy z Rozbarku autobusem. Nasza koleżanka, Kornelia Scholtysek, obchodziła niedawno 55-lecie pielgrzymowania na Annaberg. Przez całe życie opuściła pielgrzymkę tylko dwa razy – z powodu choroby. Tak jak ona, wiele innych osób z Rozbarku obchodziło swój jubileusz pielgrzymowania na Górę św. Anny. Ja i mój mąż pielgrzymujemy już ponad 40 lat. Jak jeździłam tam w młodości



z „Mariankami”, to spało się gdzieś u gospodarzy – na siennikach. Nad nimi ciągnął się sznur, na którym rozwieszono były nasze ubrania – białe i czarne. Bo na pielgrzymkę potrzebowaliśmy ubrań w obu tych kolorach. Musiałyśmy wstawać o 4.00 rano, aby zdążyć na poranną mszę św. na godz. 5.00. Myło się wtedy na dworze w misce z zimną wodą.

Pielgrzymka parafian kościoła św. Jacka na Górę św. Anny z okazji podwyższenia krzyża, l. 60.; fot. ze zbiorów Marianny Cofali

Do najważniejszych obchodów na Górze św. Anny należy droga krzyżowa, która ma 28 stacji. Tłum ludzi uczestniczy w tym nabożeństwie. Rozpoczyna się poranną mszą św. w Grocie Ludzkiej. Następnie pielgrzymi wędrują na kalwarię 7 km w jedną stronę, rozważając mękę i śmierć Jezusa. Droga krzyżowa kończy się na 28. stacji –



Ślub Magdaleny (z d. Musialik) z Antonim Końdek, w strojach rozbarskich, ok. 1898 r.; fot. ze zbiorów Marianny Cofali



Magdalena Końdek z rocznym synem Stefanem, ojcem Marianny Cofali; fot. ze zbiorów Marianny Cofali

„zmartwychwstanie Jezusa”. Dawniej na tych obchodach „Marianki” ubrane były na czarno i niosły figurę Jezusa. Natomiast wieczorem ma miejsce przepiękne nabożeństwo ze świecami, które odbywa się raz do roku. Z kolei kiedyś „Marianki” były ubrane wtedy całe na białe. W następnym dniu odbywają się tzw. dróżki Najświętszej Marii Panny, stacje bolesne i pogrzebowe. „Marianki” niosły wtedy figury Matki Boskiej „zaśniętej” i były ubrane na czarno. Po stacjach pogrzebowych następują chwalebne, gdyż „Maryja jest do nieba wzięta”. Z tej okazji przebierałyśmy się znów na białe. Na koniec procesja z figurą Matki Boskiej Wniebowziętej wyrusza do Groty, gdzie koncelebrowana jest msza święta z kazaniem, błogosławieństwem i pożegnaniem pielgrzymów. To jest najsmutniejszy moment, bo już wiadomo, że kończą się te przepiękne dni. Wtedy myślimy już o przyszłym roku – jak Bóg pozwoli, by znów spotkać się u naszej babci, św. Anny. Pamiętam też, że kiedy wracało się pociągiem z Góry św. Anny, to chłopcy wychodzili nam naprzeciw z fakłami, czyli pochodniami, witano nas kwiatami. I razem szliśmy ze śpiewem na ustach do kościoła – przez całą ul. Miarki i ul. Witczaka.

Do dziś raz na jakiś czas osobom z „mariaństwa” udaje się spotkać. I wtedy panie przyjeżdżają z Piekar, Katowic, a nawet z Niemiec.

Zmienia się sposób pielgrzymowania, zmieniają się tradycje. Zmienia się Rozbark. A jak zatem zmieniły się ulice Rozbarku?

Na każdej ulicy – Witczaka, Alojzjanów, Musialika – przed domami gospodarzy były kiedyś ławki. Ludzie siadali razem, rozmawiali. Nie zamykali mieszkań. Były otwarte i nikt się nie bał. Klucze zostawiało się pod wycieraczką. Ludzie byli bardziej zintegrowani, no i lepiej się znali.

Wiele miejsc na Rozbarku już nie istnieje – zniknęły niektóre ulice, zniknęła zajezdnia na ul. Witczaka. Na tej ulicy była też kiedyś poczta, kuźnia. Na ul. Alojzjanów za czasów komunistycznych znajdowało się bardzo nowoczesne kino. Wcześniej – za czasów naszych dziadków – była tu przepiękna sala balowa, tzw. sala gwiezdna. Dziś znajduje się tam restauracja „Myśliwska”. Wspominając trzeba jeszcze pamiętać o orkiestrze górniczej działającej przy KWK „Rozbark”, która grała na szalამajach – takich piszczałkach. A co roku na Barbórkę szła ulicami Rozbarku żeby grać dla górników.

Czego zatem dziś najbardziej brakuje na Rozbarku?

Ludzi z tamtych czasów. Bo kiedyś nie było telewizorów i internetu. I czas spędzało się razem, wspólnie z innymi. My na szczęście spotykamy się przy kościele, przy którym zresztą bardzo dużo się dzieje, dzięki proboszczowi ks. Tadeuszowi Paluchowi.

Dziękuję za rozmowę.

Helmut Piontek, emerytowany górnik KWK „Rozbark”.



Moja mama – rocznik 1906, to jest czysty gospodarz. Jej rodzice, dziadkowie, pradziadkowie – wszyscy byli gospodarzami. Nazywali się Sobczyk i wywodzili się z ul. Musialika. Na Rozbark mówiono wtedy wieś. Mój ojciec – rocznik 1904, był z centrum Bytomia z ul. Chrobrego – czyli z miasta. Dlatego między rodziną ojca i matki nastąpił pewien konflikt. Niby daleko do siebie nie mieli, ale różnica była ogromna.

Obecnie to jest już zupełnie inaczej, bo wszystko leży w granicach miasta. Ale dziś pokażę pani przede wszystkim tę część Rozbarku, w której mieszkali kiedyś gospodarze. Zaczniemy od placu kościoła św. Jacka. Krzyż, który obecnie stoi na placu kościelnym stał kiedyś na ul. Witczaka – w okolicy wylotu ul. Szkolnej. W latach 70. został przeniesiony na plac kościelny, na miejsce dawnej starej kaplicy obok kościoła.

Ul. Witczaka

Przy ul. Witczaka, niedaleko kościoła, gdzie do niedawna jeszcze stała kamienica, a teraz jest skwerek, była restauracja „U Łapki”, która potem przeniosła się na drugą stronę ulicy. Zaraz obok (Witczaka 49) znajdowała się apteka, przed wojną nazywała się *Stern-Apotheke*. Idąc dalej – teraz gdzie tutaj są te bloki (Witczaka 41) była straż pożarna, jeszcze dalej – poczta. To był piękny budynek. A za nią Urząd Gminy Rozbark (Witczaka 45). Tu, gdzie teraz jest poczta (Witczaka 46) była drogeria „U Mikety”. Ale to było coś znacznie więcej niż zwykły sklep. Jak trzeba było to pan Miketa ząb wyrwał i wrzód usunął. On potrafił wszystko!

< fot. Małgorzata
Krakowiak



Ul. Brzezińska i Rodziewiczówny

Na rogu ul. Witczaka i Brzezińskiej była piekarnia, na Rodziewiczówny 2 – magiel, a zaraz obok – komisariat. A po drugiej stronie ulicy – jak spojrzeć na parter kamienicy – to widać jeszcze zachowany napis po niemiecku: *Milch*. Bo tutaj przed wojną była mleczarnia. Za komuny te napisy były zamalowywane, ale i tak zawsze przebiły. Przy pl. Barbary w domach po prawej i lewej stronie w czasach niemieckich mieszkali urzędnicy, m.in. dyrektorzy, nauczyciele, inżynierzy. A tu gdzie teraz znajduje się plac zabaw był basen przeciwpożarowy, który przez jakiś czas istniał jeszcze po wojnie.

Idąc dalej wzdłuż ul. Brzezińskiej, powyżej ul. Kochanowskiego, po lewej mijamy budynki, w których mieściły się warsztaty naprawcze Kolei Wąskotorowych. Powstały na przełomie XIX i XX w. Zostały zlikwidowane na początku XXI w. Jak pójdziemy jeszcze dalej ul. Brzezińską w stronę obwodnicy to dojdziemy do miejsca, gdzie kiedyś były pola, które ciągnęły się aż do Piekar. I co ciekawe, kiedyś ta rozległa przestrzeń, na której uprawiano pola była równiutka – to była jedna wielka płaszczyna. Ale po tym jak kopalnia przestała wydobywać, to wszystko siadło. Jak pani przyszedłaby tu w latach 50. to widziałaby pani tutaj krowy, konie. W pobliżu była też cegielnia. A jak pójść w stronę ul. Siemanowickiej – gdzie teraz porastają już tylko drzewa i krzaki – kiedyś znajdował się wielki kompleks sportowy z basenem. Mówiło się, że idzie się do „Gieschego” – bo to było naprzeciw kopalni „Marchlewski”, która kiedyś należała do koncernu Giesche.

Ul. Kochanowskiego

Warto też wspomnieć o Szynolu przy ul. Kochanowskiego. Przez długie lata była tu hałda (kopalni rud cynku i ołowiu „Neue Fortuna”, która znajdowała się przy dzisiejszej ul. Brzezińskiej – przyp. Red.). To była fantastyczna górką na sanki. Moje dzieci też tutaj się zimą bawiły.

Wzdłuż ul. Kochanowskiego biegła także kolej wąskotorowa – jej pozostałości można wciąż zobaczyć. Jeździła w stronę Piekar, Siemanowic. Na domy przy ul. Kochanowskiego obok Szynola mówiło

< Procesja Bożego Ciała na Scharleyerstr. (obecnie ul. Witczaka), widok od wylotu obecnej ul. Szkolnej w kierunku północnym. Krzyż w latach 70. XX w. przeniesiony został na miejsce dawnej starej kaplicy obok kościoła św. Jacka, pocztówka z końca XIX w.; ze zbiorów Stowarzyszenia Dawno Temu W Bytomiu

się domy „z bany”, bo tu mieszkali pracownicy kolei. Przy tej ulicy (Kochanowskiego 21) znajdowała się także bardzo duża restauracja „Setka”.

Ul. Musialika

Dla mnie bardzo ważna na Rozbarku jest też ul. Musialika. Moja mama chodziła tutaj do szkoły nr 8. Chodziło tam też jej starsze rodzeństwo i moja żona. Po zlikwidowaniu szkoły w 1996 r. powstał wśród starszych mieszkańców pomysł, aby ten budynek przeznaczyć na dom starców dla mieszkańców. Niestety nie udało się, a budynek teraz już tylko nadaje się do wyburzenia.

Na ul. Musialika 47 mieszkali dziadkowie mojej żony. Niedaleko – w domu przy ul. Musialika 52 urodziła się moja mama. Dziś nie wiem, kto tu mieszka. Przed domem stała kiedyś taka ławka, na której się siedziało i rozmawiało, czasem do późna w nocy. Potem rodzina mojej mamy przeniosła się na drugą stronę ulicy – do wyburzonej przez siebie kamienicy.

Na ul. Musialika, jak na całym Rozbarku, mieszkano kiedyś wielu bambrów. Rozbark mógł wyżywić cały Bytom. A dziś pozostało już tylko kilka rodzin gospodarzy. Za to na wielu podwórkach zachowały się jeszcze pomieszczenia gospodarcze – chlewiki, stodoły. Ale górnicy, którzy mieszkali na Rozbarku też często hodowali zwierzęta, które trzymali na podwórkach w chlewiku połączonym z fiszlą, a do tego mieli też komórkę. Do dziś takie pomieszczenia zachowały się np. przy ul. Siemianowickiej. Były też miejsca, gdzie mieszkańcy mo-



gli upiec sobie chleb – taka piekarnia znajdowała się np. na Musialika. Inaczej niż na Nikiszowcu, tutaj nie było piekarnioków.

Jak niezwykle był kiedyś Rozbark pokazuje też to, że kiedyś mieliśmy najnowocześniejsze w całym Bytomiu kino – „Rozbark” przy ul. Alojzjanów. To było największe kino panoramiczne na Śląsku. Wcześniej był tu Zakładowy Dom Kultury KWK „Rozbark”, a przed wojną zajazd u Pawelczyka. Taki był kiedyś nasz Rozbark...

fot. Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments

Dziękuję za spacer i opowieść.

Mieczysław Szemalikowski, reżyser, operator filmowy, scenarzysta. Ma na swoim koncie ponad 300 filmów dokumentalnych i edukacyjnych. Wiele z nich otrzymało nagrody na festiwalach filmowych w kraju i zagranicą.



Czy pamięta Pan swoje pierwsze lata w Bytomiu?

Przyjechałem do Bytomia w 1945 r. ze Lwowa. Miałem wtedy 7 lat. Bytom z tamtego okresu pamiętam równie dobrze, jak Lwów mojego dzieciństwa. Wtedy na przykład na pl. Barbary na środku był basen, ogrodzony płotkiem. Pełnił funkcje pożarnicze. Ale miał też trampoliny. Pływało się, skakało. A zimą jeździło po lodowisku. Potem ten basen zasypano. Pamiętam też budkę telefoniczną, podobną do tej, jaką można spotkać w Londynie. Na jednym z budynków był jeszcze wywoływacz straży pożarnej. Pamiętam też jak do gospodarza chodziło się po mleko. Ja na przykład chodziłem do Kasprzyków – przechodziłem dwie ulice dalej i już byłem w gospodarstwie rolnym. A po szkole – chodziłem do podstawówki na Alojzjanów – szedłem sobie w pole. Bo ta ulica wchodziła po prostu w pole – tam, gdzie dziś jest obwodnica. Były tam też sadzawki i stawy. Można było oglądać kijanki, żaby, posłuchać skowronka.

Na Rozbarku było wtedy także znacznie więcej restauracji. Taką słynną knajpą była „U Łapki” – tuż przy kościele św. Jacka. Kolejna, którą pamiętam znajdowała się na rogu ul. Brzezińskiej a Kochanowskiego – nazywała się „Pod setką”. No a poza tym mieliśmy wielki kompleks sportowy – dziś to obszar po drugiej stronie obwodnicy. Wszyscy mówili, że idą się kąpać do „Gieschego”, bo kompleks znajdował się naprzeciwko kopalni „Marchlewski”, która kiedyś wchodziła w skład Spółki Giesche. Były tam dwa baseny. Jeden ze skocznią 10-metrową, a drugi dla niepływających. Było też boisko do piłki nożnej i przyrządy gimnastyczne. Wchodziliśmy na ten kompleks od strony ul. Brzezińskiej.

< fot. ze zbiorów
Mieczysława
Szemalikow-
skiego

A na ul. Witczaka jeździł tramwaj, przy tej samej ulicy równocześnie była kuźnia. W wielu miejscach, gdzie mieszkali robotnicy, np. przy ul. Floriańskiej były podwórka. Robotnicy hodowali tam swoje zwierzęta: kozy, króliki, kury, gołębie – chociaż nie mieli swoich gospodarstw. Dlatego na Rozbarku było też wiele masarni, gdzie robiono kiełbasę i szynki. Mięso nosiło się też do wędzenia. Sam pamiętam jak chodziłem z mięsem. Ciekawe jest też to, że kamienice, które należały do gospodarzy często były budowane z myślą o wynajmie. Podzielone więc były na małe mieszkania, które wynajmowano głównie robotnikom, którzy przyjechali tutaj do pracy w kopalni – jednej albo drugiej.

A jak wyglądało wtedy współistnienie Lwowiaków ze Ślązakami?

No mogę to opisać na przykładzie mojej kamienicy na św. Kingi. Zamieszkiwana była w połowie przez Ślązaków, w połowie przez Lwowiaków. Na początku to było takie patrzenie na siebie z podejrzliwością. I opowiem pani taką historię. Wychodzę pewnego dnia z mamą z mieszkania. Na schodach rozmawiały ze sobą sąsiadki Ślązaczki – jakąś mieszaniną gwary śląskiej i niemczyzny. Mama zapytała je: W jakim języku panie ze sobą rozmawiacie? One odpowiedziały: Po niemiecku. I wtedy mama też odezwała się po niemiecku, chociaż z akcentem austriackim. One spojrzały na siebie i powiedziały: Jezu, a my myślały, że Rusy tu przyjechały. No i w tym momencie nastąpiła jakaś zmiana. Najszybciej integrowały się oczywiście dzieciaki. Tylko

jedna rodzina wyprowadziła się z tej kamienicy, bo nie umiała się adaptować. Ale nie byli ze Lwowa, tylko z Czeladzi. Większość z nas wiedziała, że nie ma żadnego powrotu. A do tego jakbym powiedział, że między Polakami a Ukraińcami nigdy nie było konfliktów narodowościowych, to bym kłamał. One były – Polacy nie byli wyłącznie tacy fantastyczni i ugodowi.

I szybko poczuł się Pan tutaj jak u siebie?

Ja jestem dziecko wojny. No i pochodzę z dosyć barwnej rodziny o polsko-austriackich korzeniach. Ale wiem, że kiedyś miałem swój heimat gdzie indziej. A teraz mam heimat tutaj. I chciałem go dobrze poznać. Moi rodzice powiedzieli już jasno na samym początku: - Do Lwowa nie wrócimy. Bo miasto to ludzie. Kamienice mogą zostać, ale jak nie ma ludzi, to jest to już zupełnie inne miejsce. Gdybym był rozdarty między Bytomiem a Lwowem, to nigdy bym nie zrobił tylu filmów o Śląsku.

Czy Pana twórczość wyrasta zatem z przywiązania do Śląska?

Robiłem filmy o Bytomiu, Śląsku, ale przede wszystkim o przemyśle. Zjeździłem całą Polskę z kamerą, oprócz ściany wschodniej, bo tam nie było przemysłu. To były m.in. filmy edukacyjne, instruktażowe, tworzone z myślą o przyszłych adeptach konkretnego fachu, a także o tych, którzy chcieli się podszkolić w danej dziedzinie, wdrożyć jakieś nowe technologie. Poza filmami o ciężkim przemyśle, robiłem



Zdjęcie z filmu pt. „Tapania”; fot. ze zbiorów Mieczysława Szemalikowskiego

np. film dla sprzedawców – jak pokazać działanie stereo lub filmy medyczne dotyczące nowatorskich operacji. O Bytomiu zrobiłem m.in. film, który ukazywał kulisy Opery Śląskiej, a także film pt. „Szałamaje” (1966). Pokazałem w nim jedyną wtedy orkiestrę w Polsce, grającą na piszczałkowych instrumentach, zwanych właśnie szałamaje. Ta górnicza orkiestra działała przy Domu Kultury Kopalni „Rozbark”. Film wywołał duże zainteresowanie i pokazano go wtedy w telewizji. Zrobi-



Zdjęcie z filmu pt. „Tapania”; fot. ze zbiorów Mieczysława Szemalikowskiego

łem też film pt. „Szytgar” (1970) o górniku z kopalni „Szombierki” odchodzącym na emeryturę. Pokazała go Telewizja Gdańsk na Barbórkę. Generalnie trudno było wstawić coś do Telewizji Katowice.

Po kilkudziesięciu latach filmy te dostały swoje nowe życie. Kiedy startowała Telewizja Silesia zadzwonił do mnie dziennikarz z propozycją, abym zrobił coś na początek ich działalności. Postanowiłem więc odwiedzić te same miejsca, które pokazywałem w moich starych



Zdjęcie z filmu pt. „Z dziejów górnictwa rud żelaza”; fot. ze zbiorów Mieczysława Szemalikowskiego

filmach o Śląsku. Spotkałem się z ludźmi, którzy wystąpili w tamtych dokumentach. Wykorzystałem też fragmenty moich starych nagrań. W ten sposób powstało 15 odcinków filmów o Śląsku.

Ale kręcił Pan także filmy o Rozbarku?

Tak. Ale robiłem te materiały hobbistycznie. Jak kręciłem jakiś film, to zawsze zostawało mi trochę taśmy. I wykorzystywałem ją do dokumentów na temat Rozbarku. Tak powstawały np. materiały o Bożym Ciele, których fragmenty można zobaczyć w moim ostatnim filmie pt. „Rozbarskie podania”.

Obchody Bożego Ciała to coś, co wyróżnia to miejsce. Co jeszcze Pana zdaniem jest wyjątkowe dla Rozbarku?

Rozbark to było spotkanie dwóch rzeczywistości – miasta i wsi. I myślę, że to było coś wyjątkowego. Ze względu na swój rolniczy charakter był zaopatrzeniem dla miasta. I kolejna wynikająca stąd wyróżniająca Rozbark rzecz – konie. Rozbarscy gospodarze na Boże Ciało ubrani w swoje piękne stroje rozbarskie brali udział w procesji, jadąc właśnie na koniach. To było coś niezwykle fascynującego. Wtedy oczywiście jeszcze nie filmowałem, bo to było w czasie mojego dzieciństwa. Potem już niestety konie zniknęły.

Chociaż poza Bytomiem ciekawiły mnie także inne miasta Górnego Śląska, o których zrobiłem filmy: Chorzów, Piekary Śląskie. Uważam, że Bytom był wyjątkowo interesującym obiektem do fotografowania i filmowania. A to przede wszystkim przez swoją architekturę. Budownictwo, które tutaj było, można porównać jeszcze tylko z Gliwicami. Sam Rozbark też moim zdaniem ma trochę ciekawej architektury – dotyczy to tej części, która została zafundowana przez przemysł. Są to m.in. pl. Barbary, ul. św. Kingi, ul. Konopnickiej, ul. Rodziewiczówny. To, że te ulice były ciekawe potwierdza chociażby fakt, że ul. Rodziewiczówny i Witczaka zagrały w polskich filmach.

Zatem życzę kolejnego filmu, który pokazuje niezwykłość naszych małych ojczyzn. Dziękuję za rozmowę.

**Zdjęcia ze zbiorów Doroty Nowickiej,
z domu Przondziono**



Dorota Nowicka
w stroju
rozbarskim,
1946 r.

< Maria i Michał
Krenciszek, l. 60.



Procesja Bożego Ciała na Rozbarku,
mężczyzna niosący baldachim w środku zdjęcia –
Michał Krenciszek



Procesja Bożego Ciała na Rozbarku,
ul. Musialika, przed II wojną światową



Kawalerowie z Rozbarku, pierwszy z prawej
w rzędzie stojących Piotr Krenciszek



Piotr Krenciszek na podwórk
na ul. Stawowej



Maria Krenciszek
z córką Martą (od lewej)



Maria Krenciszek z córką Martą
i służącą, na podwórku przy ul. Stawowej

Franz
Przondziono
w stroju ślub-
nego drużby
z okazji ślubu
Marty i Felixa
Przondziono,
1935 r.



Drużbowie
na ślubie Marty
i Felixa
Przondziono

Studenci z Marią
Krenciszek

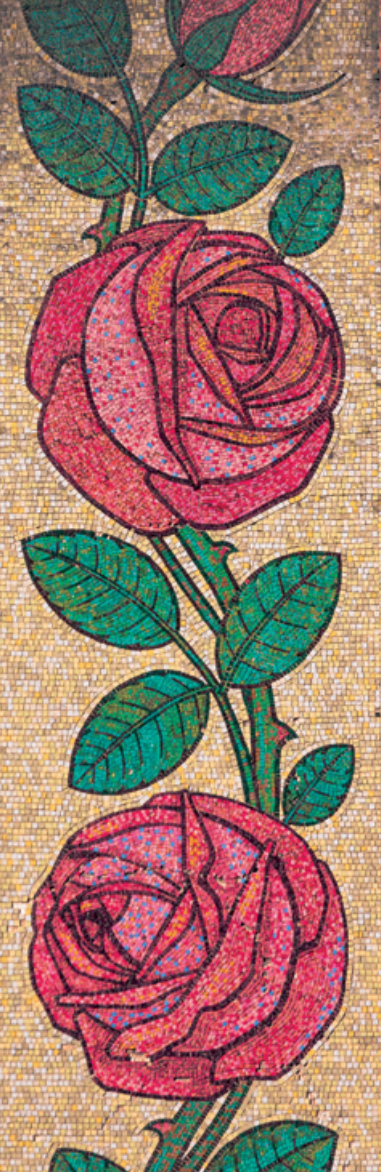


Maria Krenciszek
w wieku 77 lat,
procesja Bożego
Ciała przy ko-
ściele św. Jacka



Po procesji
Bożego Ciała
przed kościołem
św. Jacka,
trzecia z prawej
w górnym
rzędzie Maria
Krenciszek

N I K I S Z O W I E C



R O Z B A R K

SPACEREM PO NIKISZOWCU

- I. **Kościół św. Anny**, pl. Wyzwolenia 2I
2. **Miejsce Pamięci**, plac kościelny
3. **Pomnik Mieroszewskiego**, Skwer Zillmannów
4. **Rynek**, pl. Wyzwolenia
5. **Centrum Zimbardo w Nikiszowcu**, pl. Wyzwolenia 5
6. **Pralnia i magiel** / obecnie Muzeum Historii Katowic,
ul. Rymarska 4
7. **Lodowisko „Jantor”**, ul. Nałkowskiej 11
8. **Zakładowy Dom Kultury** / obecnie budynek
Szkoły Podstawowej nr 53, ul. Szopienicka 58 A
9. **Dyrekcja kopalni**, ul. Szopienicka 58
10. **Szyb „Nickisch” / „Poniatowski”**, ul. Szopienicka 58
11. **Szyb „Carmer”/ „Pułaski” oraz wagony Balkanu**,
ul. Szopienicka 41

ROZBARK – NIKISZOWIEC
NA WSPÓLNYM SZLAKU

SPIS TREŚCI

Rozdział I: **Historia osiedla Nikiszowiec** s. 5

Rozdział II: **Spacerem po Nikiszowcu** s. 31

Rozdział III: **Nikiszowiec - historia mówiona** s. 67

>
Nikiszowiec – rynek (pl. Kościelny,
obecnie pl. Wyzwolenia), I. 20. XX w.;
ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

RODZIAŁ I HISTORIA OSIEDLA NIKISZOWIEC





Szyb „Nickisch” (od 1935 r. „Poniatowski”);
ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

NIEZWYKŁE 100 LAT

Joanna Tofilska

Osiedle patronackie w sąsiedztwie szybu „Nickisch”

W pierwszych latach XX w. koncern górniczo-hutniczy Georg von Giesche’s Erben przystąpił do głębień nowego szybu wydobywczego kopalni „Giesche”, nazwanego „Carmer” (później „Pułaski”), którego uruchomienie wiązało się z koniecznością zatrudnienia dużej liczby nowych pracowników. Ich pozyskanie było możliwe jedynie poprzez zapewnienie im mieszkań w sąsiedztwie miejsca pracy. Anton Uthemann, dyrektor generalny spółki Georg von Giesche’s Erben musiał zatem zająć się m.in. budową nowych osiedli robotniczych i przystąpił do tego zadania z wielkim zaangażowaniem. W 1906 r. koncern zyskał zgodę na budowę pierwszego osiedla górniczego nazwanego Gieschewald (później Giszowiec), ze względu na charakter zabudowy określanego często mianem wsi górniczej lub osiedla ogrodu. Jednak już w trakcie jego budowy było jasne, że nawet w pełni zasiedlone nie pokryje wszystkich potrzeb mieszkaniowych załogi nowego szybu, zatem w 1908 r. koncern Georg von Giesche’s Erben zwrócił się do władz o pozwolenie na budowę drugiego osiedla, położonego w bezpośrednim sąsiedztwie szybu „Carmer” oraz szybu „Nickisch” (później „Poniatowski”). Ze względu na lokalizację osiedle miało nosić

nazwę Nickischschacht, czyli szyb Nickisch (później Nikiszowiec). Dnia 16 grudnia 1908 r. na posiedzeniu Wydziału Powiatowego w Katowicach podjęto potrzebną do rozpoczęcia jego budowy uchwałę o udzieleniu zgody na zasiedlenie.

Projekt Emila i Georga Zillmannów

Wykonanie projektów zabudowy Nikiszowca Uthemann powierzył sprawdzonym już przy budowie Giszowca architektom, Emilowi i Georgowi Zillmannom z Charlottenburga k. Berlina. Tym razem wybrano jednak zupełnie inny typ zabudowy. Osiedle ma charakter małego miasteczka. Dziewięć dużych bloków z rozległymi wewnętrznymi podwórzami powstało z połączenia trójkondygnacyjnych, wielomieszkańczych domów, z których na swój sposób każdy jest oryginalny. Ich ceglane elewacje charakteryzuje bogactwo detali architektonicznych. Różnią się między sobą m.in. rozmiarem i kształtem wykuszów, balkonów, okien, drzwi. Bloki są ze sobą połączone charakterystycznymi przewieszkami ponad wylotami ulic, przywodzącymi na myśl bramy wjazdowe w średniowiecznych miastach. Nikiszowiec był zasiedlany stopniowo, w miarę oddawania do użytku poszczególnych bloków. Pierwsi mieszkańcy wprowadzili się już w 1911 r. Ostatni z bloków powstał w 1919 r. Równocześnie z budynkami mieszkalnymi wyrastały znakomicie wkomponowane w zabudowę osiedla obiekty użyteczności publicznej – szkoła, pralnia z magłem i łaźnią, gospoda, konsum (sklepy), poczta a nawet barak dla zakaźnie chorych.



W Nikiszowcu wzniesiono również zaprojektowany przez Zillmannów neobarokowy kościół katolicki przeznaczony nie tylko dla mieszkańców tej miejscowości, ale również sąsiednich – Janowa oraz Giszowca. Poza zapewnieniem mieszkańcom swoich osiedli dostępu do edukacji, opieki zdrowotnej czy duchowej spółka Georg von Giesche's Erben rozwiązała także problem transportu. Od 1916 r. fragment sieci kolei wąskotorowej (pomiędzy Giszowcem a szybem

Nikiszowiec konsum; ze zbiorów Muzeum Historii Katowic



Kościół
pw. św. Anny;
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic

„Albert”), którą połączone zostały poszczególne huty i szyby kopalniane wykorzystywano na potrzeby ruchu osobowego. Przejazdy tym pociągiem, nazywanym przez jego pasażerów Balkanem, były darmowe. Ostatni kurs Balkana odbył się 31 grudnia 1977 r.

Okres budowy i tworzenia społeczności Nikiszowca został zakłócony po wybuchu I wojny światowej w 1914 r. Wprawdzie na tere-



nie Górnego Śląska nie toczyły się walki, ale prowadzone przez państwo niemieckie działania wojenne poważnie wpłynęły na sytuację życiową jego obywateli. Mężczyźni w wieku poborowym (20-45 lat), a takich w Nikiszowcu było najwięcej, w większości trafili na front, z którego wielu nie powróciło. W miarę przedłużania się wojny coraz większe i coraz dotkliwiej odczuwane przez ludność cywilną były kłopoty z zaopatrzeniem w żywność, a także problemy z dostępem do opieki zdrowotnej. Narastało rozgoryczenie i zniecierpliwienie mieszkańców Nikiszowca.

Kolejka Balkan;
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic



Bryczka przed szybem „Carmer” (od 1935 r. – „Pułaski”); ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

Włączenie do Polski

Po klęsce Niemiec w wielkiej wojnie i odzyskaniu niepodległości przez Polskę postanowiono, że o dalszej przynależności państwowej Górnego Śląska zadecydują sami jego mieszkańcy w plebiscycie. Nasilający się konflikt narodowościowy w tym regionie oraz kryzys gospodarczy doprowadził jednak do wybuchu trzech powstań śląskich w latach 1919, 1920, 1921. Wzięła w nich czynny udział także część mieszkańców Nikiszowca. W plebiscycie 20 marca 1921 r. zdecydowana większość nikiszowian opowiedziała się za włączeniem

do Polski. Ostatecznie cały powiat katowicki, a w tym należący do niego Nikiszowiec, znalazł się w części Górnego Śląska przyznanej państwu polskiemu, która weszła w jego skład jako autonomiczne województwo śląskie – w 1922 r.

W 1924 r. zgodnie z rozporządzeniem Śląskiej Rady Wojewódzkiej zlikwidowany został obszar dworski obejmujący dotąd Giszowiec i Nikiszowiec, a obie miejscowości włączono do gminy Janów. W latach 1928-1931, wg projektu znanego katowickiego architekta Tadeusza Michejdy, wybudowano duży, modernistyczny budynek urzędu gminy, zlokalizowany w sąsiedztwie szybu „Nickisch” przy ul. Sosnowieckiej (obecnie ul. Szopienicka).

Z wizytą w kopalni „Giesche” (od 1945 r. „Wieczorek”); ze zbiorów Muzeum Historii Katowic





Szyb „Carmer”;
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic

W wyniku podziału Śląska zakłady należące do koncernu Georg von Giesche's Erben znalazły się po dwóch stronach granicy. W efekcie po stronie polskiej utworzono spółkę filialną pod nazwą Giesche Spółka Akcyjna (Giesche SA). W 1926 r. większość jej udziałów przejęli Amerykanie.

W latach 30. XX w. wielki kryzys gospodarczy, odczuwany niemal na całym świecie, w dużym stopniu wpłynął również na sytuację górnośląskiego przemysłu górniczego. Nikiszowieckie rodziny uzależnione od prosperowania kopalni „Giesche” borykały się z bardzo trudną sytuacją materialną. Wielu górników straciło pracę, powstały liczne biedaszyby, z których nielegalnie, w bardzo niebezpiecznych warun-

kach wydobywano węgiel. Sytuacja zatrudnionych często też nie była zadowalająca, co sprawiło, że górnicy kopalni „Giesche” wielokrotnie podejmowali strajk, domagając się poprawy warunków pracy.

W okresie międzywojennym na terenie Nikiszowca działało kilkadziesiąt różnych organizacji społecznych, politycznych, kulturalnych czy sportowych. Wśród tych ostatnich największe sukcesy odnosiło Towarzystwo Pływackie „Giszowiec-Nikiszowiec 23”. Jego zawodnicy wielokrotnie zdobywali tytuły mistrzów Polski i reprezentowali kraj na zawodach międzynarodowych.

Zawody rowerowe o mistrzostwo Klubu Cyklistów Rekord;
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic



Wojenna zawierucha

Podczas okupacji hitlerowskiej Nikiszowiec znajdował się na terenie wcielonym bezpośrednio do Rzeszy. Gmina Janów pozostała w niezmienionym kształcie terytorialnym, jednak oczywiście zmieniły się jej władze – na niemieckie. Wraz z nową administracją na terenie miejscowości pojawili się przedstawiciele NSDAP i objęli ścisłą kontrolą życie jej mieszkańców. Tępieno wszelkie ślady polskości, a aktywnych w międzywojniu działaczy polskich organizacji i byłych powstańców śląskich dotknęły poważne represje – aresztowania, obozy koncentracyjne – niejednokrotnie kończące się śmiercią. Wielu nikiszowieckich mężczyzn, niezależnie od swoich przekonań, było zmuszonych walczyć w szeregach Wehrmachtu na różnych frontach II wojny światowej. Część z nich zginęła, niektórzy dostali się do niewoli aliantów i walczyli następnie po ich stronie w szeregach armii gen. Andersa, inni, służąc w armii niemieckiej, doczekali końca wojny. Dnia 3 lutego 1942 r. polsko brzmiącą nazwę gminy Janów zmieniono na niemiecką, Gieschewald, a wchodzący w jej skład Nikiszowiec występował odtąd oficjalnie jako Gieschewald Mitte.

Powojenny Nikiszowiec

W dniu 25 stycznia 1945 r. w czasie ofensywy Armii Czerwonej radzieckie samoloty zbombardowały m.in. część zabudowań elektrowni „Jerzy” sąsiadującej z szybem „Pułaski”. Niemieccy okupanci opuścili już wówczas osiedle, jednak zarówno urządzenia kopalniane, jak i elektrownia zostały uratowane dzięki postawie miejscowych gór-

ników, którzy utrzymywali je w ruchu i nie dopuścili do dewastacji zakładu.

W Polsce Ludowej obowiązywała gospodarka planowa, a ważnym elementem realizowanych kolejno planów gospodarczych był rozwój górnictwa węgla kamiennego, podstawowego surowca energetycznego w kraju. Podobnie jak inne zakłady kopalnia „Wieczorek” musiała wypełniać narzucane jej odgórnie normy wydobywania. W nowej rzeczywistości politycznej Polski Ludowej kopalnia „Giesche” została znacjonalizowana, a jej nazwa kojarząca się z niemieckim kapitalistą zmieniona: najpierw na „Janów”, a już w 1946 r. na „Wieczorek”, na cześć jej dawnego pracownika, działacza komunistycznego, Józefa Wieczorka, zamęczonego w Auschwitzu.

Powojenny rynek w Nikiszowcu; fot. ze zbiorów Henryka Psoty



W 1951 r. Nikiszowiec wraz z Janowem i Giszowcem stał się częścią Szopienic, które uzyskały prawa miejskie. Jednak już w 1960 r. Szopienice włączono do Katowic i od tej pory Nikiszowiec pozostaje w granicach tego miasta.

Górnoślązacy, a zatem również nikiszowianie, wpisani w czasie okupacji na volkslistę, po II wojnie światowej w celu odzyskania obywatelstwa polskiego musieli poddać się procesowi tzw. weryfikacji narodowościowej i rehabilitacji.

W 1945 r. władza ludowa podjęła decyzję o wykorzystaniu jeńców wojennych i więźniów do pracy w przemyśle węglowym. W KWK „Wieczorek” jeńcy skoszarowani byli w obozie stworzonym w czasie okupacji przy szybie „Zbyszko”. Po wojnie znaleźli się w nim Niemcy, internowani przez Armię Czerwoną volksdeutsche bądź uznani za takich Górnoślązacy, a także żołnierze podziemia antykomunistycznego i inne osoby uchodzące za wrogów nowego systemu politycznego. Obóz zlikwidowano w 1949 r.

W okresie PRL-u prawdziwym fenomenem Nikiszowca stała się tzw. Grupa Janowska, złożona z malarzy nieprofesjonalnych, w większości górników, uczestniczących w zajęciach plastycznych oferowanych przez świetlicę zakładową KWK „Wieczorek”. Nazwiska niektórych jej członków, tj. Teofila Ociepki, Ewalda Gawlika, Pawła Wróbla czy Erwina Sówki znane są w całej Polsce, a nawet poza jej granicami.

Przemiany polityczne i gospodarcze w Polsce po 1989 r. miały duży wpływ na przemysł górniczy, a w tym także na KWK „Wieczorek”. Zakład zmniejszył wydobywanie i znacznie ograniczył zatrudnienie. Nikiszowiec, gdzie tradycyjnie większość mieszkańców utrzymywała się z pracy w górnictwie, znowu dotknęło bezrobocie i związane z nim inne problemy społeczne.

Szansę wyjścia z kryzysu osiedle zyskało w XXI w. Pojawiły się bowiem nowe perspektywy rozwoju wynikające z jego unikatowej architektury. Wprawdzie zabudowa Nikiszowca trafiła do rejestru zabytków już w 1978 r. i od lat fascynowała twórców, stając się m.in. tłem filmów Kazimierza Kutza, jednak dopiero w ostatnim dziesięcioleciu zyskała popularność wśród turystów. Obecnie stanowi jeden z punktów na Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego i bez wątpienia jest jedną z najchętniej odwiedzanych atrakcji turystycznych na Górnym Śląsku. Ponadto w 2011 r. zgodnie z rozporządzeniem Prezydenta RP Nikiszowiec został uznany za pomnik historii, a zatem zaliczony do zabytków o szczególnej dla naszego kraju wartości.

MOJE SPOTKANIE Z ZILLMANNAMI

Joanna Tofilska

Z nazwiskiem Emila i Georga Zillmannów zetknęłam się już w dzieciństwie. Mieszkając wówczas w Giszowcu, wielokrotnie słyszałam, że to osiedle w swoim pierwotnym kształcie zostało zaprojektowane przez dwóch braci, architektów z Charlottenburga. W 2005 r., będąc już pracownikiem Muzeum Historii Katowic, w związku z przygotowaniem do obchodów stulecia Giszowca i Nikiszowca otrzymałam zadanie stworzenia biogramów ich projektantów. Wydawałoby się, że nie jest to trudne zadanie. Chodziło bowiem przecież o twórców uni-katowych osiedli, których nazwisko nie było obce historykom sztuki. Kiedy jednak zabrałam się za poszukiwanie wszelkich dostępnych informacji na temat Zillmannów okazało się, że wbrew pozorom sprawa ta wcale nie jest taka prosta.

Wprawdzie o architekturze Giszowca i Nikiszowca pisano już wielokrotnie, a w różnych opracowaniach pojawiały się też wzmianki o kilku innych obiektach zaprojektowanych przez Zillmannów jednak sami twórcy pozostawali zdecydowanie w cieniu swoich dzieł. Jedyną informacją biograficzną, którą udało mi się znaleźć w literaturze była wzmianka, że ich biuro architektoniczne mieściło się w Berlinie-Charlottenburgu. Niewiele wniosły też początkowo moje

pytania skierowane do różnych berlińskich instytucji. Dopiero wpis zamieszczony na forum internetowym „Verein für die Geschichte Berlins” okazał się przełomowy.

Nieprawdopodobny zbieg okoliczności sprawił, że moje pytanie dotyczące Emila i Georga Zillmannów odnalazł wnuk Emila, Jörn Zillmann. Dzięki jego pomocy udało mi się ustalić podstawowe fakty z życia architektów – daty urodzenia, śmierci, dane na temat ich rodzin, itp. Okazało się przy tym, że architekci nie byli braćmi, jak dotąd zakładano, lecz kuzynami. Ponadto od Jörna Zillmanna otrzymałam kserokopię listy budynków zaprojektowanych przez Emila i Georga Zillmannów sporządzoną najprawdopodobniej przez samych architektów.

Spis ten stał się punktem wyjścia do poszukiwań bardziej szczegółowych informacji na temat ich dorobku. Jak się okazuje, wkład Zillmannów w kształtowanie przemysłowego krajobrazu Górnego Śląska był ogromny. Z ich pracowni wyszły projekty bardzo wielu charakterystycznych obiektów, bez których trudno już sobie wyobrazić pejzaż naszego regionu. Duża ich część związana jest z działalnością spółki Georg von Giesche's Erben. To na jej zlecenie architekci zaprojektowali m.in. liczne budynki kopalni „Giesche” („Wieczorek”) i sąsiadujące z nimi potężne osiedle górnicze – Nikiszowiec, a także zabudowania należące do kopalni „Heinitz” („Rozbark”).

FENOMEN ZMIANY W NIKISZOWCU

Waldemar Jan

Jeżeli chcesz zbudować okręt, to nie zwołuj ludzi w celu zrobienia planów, podzielenia pracy, przygotowania narzędzi i wycinania drzew, lecz naucz ich tęsknoty za bezmiarem morza. Wtedy zbudują statek sami.

(Antoine de Saint-Exupéry)

Czy na tym właśnie polega fenomen zmiany w Nikiszowcu? Czy jest to fenomen czy tylko prosta chęć życia w miejscu nieco lepszym, czystszy i bardziej bezpiecznym i w otoczeniu nieco bardziej życzliwych ludzi?

Nikiszowiec zaprojektowano jako miejsce życia zwykłych ludzi. Jednak dla nich i dla nas – spadkobierców i użytkowników tego dziedzictwa – było to dzieło niebanalne, przemyślane i trwałe. Osiedle nierozdzielnie związane z wciąż działającą kopalnią rozwijało się pod jej skrzydłami. Ludziom żyło się dobrze. Stanowili zintegrowaną społeczność, której nie zaszkodził napływ robotników spoza Górnego Śląska, a czasem wręcz dostarczył nowej siły i nowych liderów. Taki porządek zburzyły zmiany społeczno-gospodarcze początku lat 90. XX w. Kopalnia przestała wspierać i organizować życie społeczne, kulturalne, nie była już siłą napędową.



fot. Szymon Nawrat,
To Inspire



fot. Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments

Zasoby mieszkaniowe podzielono pomiędzy różnych właścicieli, a ludzie pozostali sami. Pojawiły się, a raczej uwypukliły problemy społeczne, dezintegracja, brak umiejętności samodzielnego radzenia sobie z nową rzeczywistością. Ten regres trwał blisko dwie dekady.

100 lat Nikiszowca... na dobry początek

Przełomem okazał się 2008 r., w którym obchodzono 100-lecie osiedla. W przygotowania zaangażowały się lokalne elity, które powołały do życia komitet obchodów 100-lecia Nikiszowca, później prze-

kształcony w Stowarzyszenie „Razem dla Nikiszowca”. Wielką rolę odegrały media, zwłaszcza „Gazeta Wyborcza”, która na początku roku jubileuszowego zorganizowała debatę publiczną. Było to niezwykle burzliwe, ale i w pewnym sensie oczyszczające spotkanie, podczas którego zostały wyrażone żale i bolączki społeczności osiedla. Kolejnym ważnym wydarzeniem były zmiany w kierownictwie Komisariatu V Policji i zwiększenie aktywności służb mundurowych na terenie osiedla.

Ostatnim, ale być może najważniejszym – z punktu widzenia trwałej i kompleksowej zmiany społecznej – wydarzeniem było rozpoczęcie realizacji projektu, który w bardzo szybkim czasie przestał być projektem, lecz stał się modelem udanej interwencji w społeczności wymagającej wsparcia. Było nim Centrum Aktywności Lokalnej w Nikiszowcu, powstałe jako część projektu „Damy radę – program aktywizacji społecznej i zawodowej” realizowanego przez Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej w Katowicach. W latach 2012-2015 Centrum działało pod egidą Stowarzyszenia Fabryka Inicjatyw Lokalnych.

Ważniejsi jednak od nazw i podmiotów są ludzie, którzy to Centrum tworzyli i realizowali jego idee. Zarówno zawodowi animatorzy jak i cała rzesza mieszkańców i sympatyków Nikiszowca, którzy przez te kilka lat wykazywali się niezwykłym zaangażowaniem. To oni są dowodem zmiany w osiedlu, dowodem który ma imiona – Rudolf, Barbara, Marta, Zbyszek, Anna, Danuta, Gabrysia, Piotrek, Beata, Janusz, Agnieszka, Przemek, Grzegorz, Bożena, Magda, i wielu

innych. Po zakończeniu funkcjonowania Centrum jego idee są kontynuowane jednak nadal m.in. poprzez Centrum Zimbaro w Nikiszowcu i inne działania społeczno-kulturalne realizowane przez Stowarzyszenie FIL.

Ludzie w centrum, czyli Centrum Aktywności Lokalnej

Dlaczego Centrum Aktywności Lokalnej było tak ważnym elementem zmiany i rewitalizacji Nikiszowca? Chociaż tak trudno jest w kilku zdaniach streścić te kilka lat jego działalności, to właśnie czas być może jest kluczem do rozumienia zmiany Nikiszowca. Czas poświęcony na integrację, poznawanie potencjału lokalnego, na odkrycie wartości – nie tylko w niezwyklej historii i przestrzeni Nikiszowca, które są przecież dziedziczone, a więc dane – ale przede wszystkim w ludziach. Udało się uruchomić aktywność w tej społeczności. Dlatego był to czas wspólnej pracy, planowania, programowania, sprzątania, przekonywania, dialogu, mediacji, wspierania inicjatyw, a także edukacji. Ale tego nie da się zaplanować jako kilkumiesięczny projekt. Tego trzeba bowiem dokonać w czasie, jaki każdej społeczności jest potrzebny, z uwzględnieniem bardzo konkretnych i niepowtarzalnych uwarunkowań, także stopnia dezintegracji i marginalizacji społeczności i miejsca. Nikiszowiec i jego aktywni mieszkańcy dostali ten czas. Dostaliśmy go też my – animatorzy zmiany. I wydaje się, że wykorzystaliśmy ten czas najlepiej jak mogliśmy.

A co się konkretnie zmieniło?

Każdy jednak pyta o te bardziej namacalne dowody zmiany. Co się konkretnie zmieniło? W 2008 r. stworzyliśmy pierwszą grupę animatorów społecznych, z którymi wspólnie wymyśliśmy i zorganizowaliśmy Jarmark Na Nikiszu. Wtedy był on swego rodzaju manifestem mieszkańców, którzy pragnęli poprawy swojej sytuacji, a także wizerunku osiedla. Dziś to jeden z największych i najlepiej ocenianych jarmarków bożonarodzeniowych w regionie, wciąż organizowany przy znacznym wsparciu mieszkańców dzielnicy – obecnie zwłaszcza młodzieży. Dzięki Jarmarkowi narodził się m.in. pomysł na wzmocnienie aktywności obywatelskiej poprzez budowę systemu monitoringu wizyjnego, zwiększającego poczucie bezpieczeństwa. Monitoring powstał po 2 latach starań – w 2010 r. przy zaangażowaniu środków społecznych i miejskich, a w 2012 r. także unijnych. To dzięki m.in. tym działaniom społeczność uznano za partnera, z którym można i warto współpracować. Poprawa poziomu bezpieczeństwa stanowiła impuls do wielu kolejnych aktywności i ożywienia obszarów związanych np. z kulturą czy ekonomią. W dzielnicy zaczęli osiedlać się nowi, świadomi potencjału miejsca ludzie. Powstały kawiarnie, pracownie artystyczne. W budynku dawnego magła otwarto oddział Muzeum Historii Katowic. Przebudowano rynek, ograniczając ruch samochodów i stwarzając bardziej przyjazną mieszkańcom i turystom przestrzeń publiczną. Odnowiono główny skwer, nadając mu nazwę Skweru Zillmannów. Dokonano modernizacji sieci ka-

nalizacyjnej, otwierając tym samym drogę do dalszych remontów budynków mieszkalnych.

W 2013 r. powstała Rada Jednostki Pomocniczej dla dzielnicy Janów-Nikiszowiec, której wyborom towarzyszyła jedna z najwyższych frekwencji w mieście. A w głosowaniu na budżet obywatelski w 2016 r. frekwencja w dzielnicy Janów-Nikiszowiec była najwyższa w Katowicach. W kwietniu 2014 r. otwarto w Nikiszowcu pierwsze na świecie Centrum Zimbardo – miejsce przede wszystkim aktywności ludzi młodych i wspierające proces rewitalizacji Nikiszowca.

Niezwykle istotne we współczesnym myśleniu o rewitalizacji jest to, aby przekształcenia przestrzenne i ekonomiczne szły w parze z przemianami w sposobie myślenia ludzi. Tak jak stało się to w Nikiszowcu. Mieszkańcy jednak nadal chodzą do sklepu spożywczego „do Pani Lidzi”, a „do Michalskich” po chleb. I jak zawsze rozmawiają o tym kto umarł, a kto się narodził. I o tym, kto kupił mieszkanie i czy będzie mieszkał, czy tylko pomieszkiwał? Rozmawiają też o kopalni, która była zawsze, choć nie zawsze już będzie. Nikiszowiec czekają kolejne zmiany, z którymi mamy nadzieję, że sobie poradziMY.

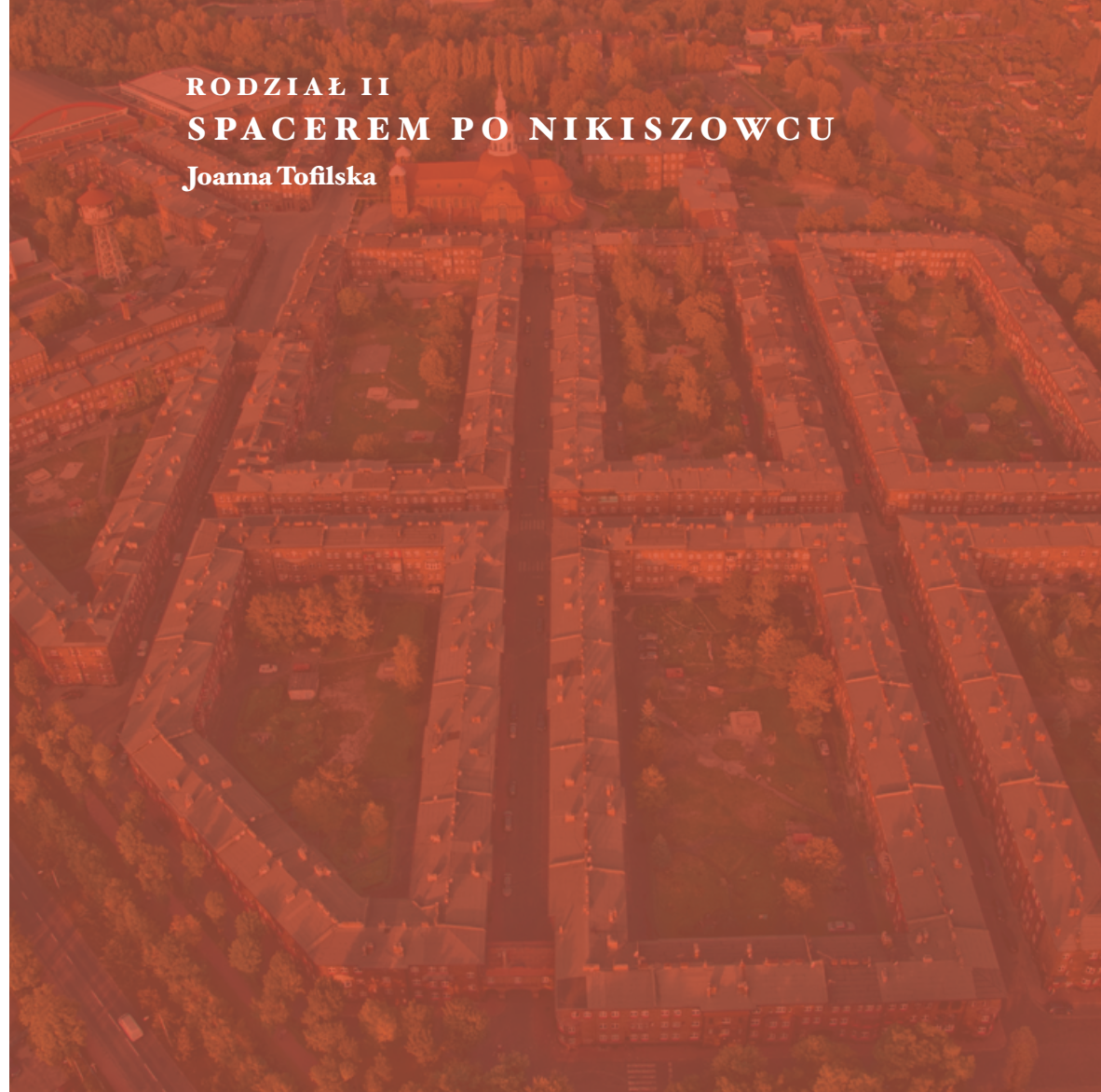


Organizatorzy i wolontariusze
Jarmarku Na Nikiszu, Centrum Zimbardo
2016 r.; fot. Grzegorz Podgórski

>
fot. Marian Drygas;
ze zbiorów UM Katowice

RODZIAŁ II SPACEREM PO NIKISZOWCU

Joanna Tofilska



Kościół św. Anny

p1. Wyzwolenia 21



Neobarokowy kościół pw. św. Anny został zaprojektowany przez twórców całej zabudowy osiedla, berlińskich architektów – Emila i Georga Zillmannów. Budowę rozpoczęto w 1914 r., jednak niebawem przerwał ją wybuch I wojny światowej. Wznowione po kilku latach prace doprowadziły do uroczystego poświęcenia kościoła 23 października 1927 r. Liczebność parafii obejmującej początkowo oprócz Nikiszowca i Janowa również Giszowiec znalazła swoje odzwierciedlenie w wyjątkowych rozmiarach świątyni (powierzchnia – 2 500 m², długość – 69,5 m, szerokość nawy poprzecznej – 40 m, wysokość wieży – 55 m). W jej wnętrzu do dzisiaj można podziwiać większość elementów pierwotnego wystroju. Ołtarz główny z figurą św. Anny, ambona, prospekt organowy i chrzcielnica powstały w monachijskiej pracowni rzeźbiarskiej Georga Schreinerera. Autorem witraży był Georg Schneider z Ratyzbony. Na szczególne zainteresowanie zasługują 75-głosowe organy wykonane przez firmę Rieger z Karniowa. Uwagę przykuwa również ogromny żyrandol, o średnicy 4,5 m wykonany przez firmę AEG wg projektu Zillmannów.

< fot. Paweł Szalankiewicz,
Invisible Moments



fot. ze zbiorów
UM Katowice

Miejsce pamięci, plac kościelny

Mur okalający kościół pw. św. Anny przed kilkoma laty zyskał nowe znaczenie, stając się Miejsmem Pamięci poświęconym górnikom kopalni „Giesche”, którzy zginęli w miejscu pracy. Z inicjatywy Stowarzyszenia „Razem dla Nikiszowca” umieszczono na nim 354 granitowe płytki. Na każdej z nich wyryto jedno nazwisko tragicznie zmarłego górnika. Memoriał odsłonięto 4 grudnia 2011 r. Ma on charakter otwarty. Z chwilą ujawnienia kolejnych nazwisk ofiar kopalnianych wypadków dokładane są następne płytki.

fot. Oliwier
Kosma



fot.
Marek Locher



fot. >
Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments



Pomnik Mieroszewskiego

skwer Zillmannów



Skwer nazwany imieniem projektantów Nikiszowca, architektów Emila i Georga Zillmannów zdobi zabytkowy pomnik ogrodowy. Umieszczona na nim inskrypcja jest jedną z najstarszych w języku polskim na terenie Katowic. Ufundowany w 1835 r. przez ordynata myślowickiego Aleksandra Mieroszewskiego pomnik pierwotnie stał na tzw. Plantach w sąsiednim Janowie. Ordynat upodobał sobie bowiem tamtejszy dworek myśliwski, przy którym założył park w stylu angielskim ze stawem i promenadą. Z biegiem czasu „Planty” straciły jednak dawny urok i w 1912 r. pomnik został przeniesiony do ogrodu willi dyrektora kopalni „Giesche” w Giszowcu. W okresie okupacji nowy lokator willi, nazistowski zarządca Górnego Śląska, gauleiter Fritz Bracht nakazał jego zniszczenie, zapewne ze względu na inskrypcję w języku polskim ułożoną przez ordynata. Ogrodnik i stróż w domu Brachta, Borzucki, nie wypełnił jednak polecenia przełożonego. Potłukł jedynie cokół, a sam pomnik zakopał w ziemi. Po wojnie odkopano go i z powrotem umieszczono w Janowie. Po ostatniej konserwacji trafił na reprezentacyjny skwer w Nikiszowcu.

< fot. Oliwier Kosma

Rynek

p1. Wyzwolenia



Większość obiektów użyteczności publicznej w Nikiszowcu zlokalizowano przy centralnym placu obecnie noszącym nazwę plac Wyzwolenia, od początku jednak powszechnie nazywanym przez mieszkańców osiedla rynkiem.

Jednym z najbardziej charakterystycznych budynków na terenie osiedla jest obiekt stanowiący część bloku III, w którym obecnie mieszczą się poczta i bank. Jego fasadę zdobi mozaika z motywem róż. Projektując ją Zillmannowie inspirowali się wzorami zdołbionymi wstążki występujące w stroju ludowym Górnoślązaczek. Pierwotnie obiekt zajmowała gospoda, w której oprócz sal restauracyjnych znajdowały się pokoje gościnne, a także kręgielnia. W latach 50. XX w. miała tam siedzibę świetlica zakładowa kopalni „Wieczorek”, miejsce spotkań słynnej grupy malarzy nieprofesjonalnych, nazywanych Grupą Janowską.

Swoją pierwotną funkcję, handlowo-usługową zachowała część bloku II z charakterystycznymi arkadami. Przyłgnęła do niej nazwa komzony – zniekształcona forma słowa „konsum”, którym określano znajdujący się tam pierwotnie dom towarowy. Mieszkańcy Nikiszowca mogli się w nim zaopatrzyć we wszelkie niezbędne produkty. Konsum oferował towary żywnościowe, kolonialne, napoje alkoholowe, a także artykuły tekstylne i włókiennicze po bardzo korzystnych cenach, z bardzo niewielką marżą. W pomieszczeniach dawnego konsumu do dzisiaj mieszczą się sklepy, ale także otwarte w 2014 r. Centrum Zimbardo, miejsce spotkań, służące przede wszystkim młodzieży.

< fot.
Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments



Również na rynku, naprzeciwko konsumu, w bloku IV, od początku mieści się apteka. Lokal ten zaprojektowano dokładnie z takim przeznaczeniem. Duże, czteropokojowe mieszkanie położone bezpośrednio nad nią przeznaczone było pierwotnie dla aptekarza.



Pralnia i magiel

obecnie Muzeum Historii Katowic

ul. Rymarska 4

W budynku tym pierwotnie mieściła się pralnia z maglem oraz łaźnią. Dyrektor Anton Uthemann zabronił prania w mieszkaniach, aby uchronić je przed szybkim zawilgoceniem. W zamian mieszkania Nikiszowca otrzymały do dyspozycji nowocześnie wyposażony obiekt, w którym można było wyprać, wysuszyć i wymaglować pranie w komfortowych warunkach, a także wykąpać się. Budynek zajmowany jest dziś przez Dział Etnologii Miasta Muzeum Historii Katowic, a jego historię przypomina jedna z prezentowanych tam wystaw. W muzeum można obejrzeć także aranżację typowego nikiszowieckiego mieszkania oraz ekspozycję obrazów malarzy nieprofesjonalnych z tzw. Grupy Janowskiej – Teofila Ociepki, Ewolda Gawlika, Pawła Wróbla, Erwina Sówki i innych. Znajduje się tam również punkt Informacji Turystycznej, w którym m.in. można bezpłatnie wypożyczyć audioprzewodnik po Nikiszowcu.

Lodowisko „Jantor”

ul. Nałkowskiej 11

W 1964 r. otwarto w Nikiszowcu sztuczne lodowisko „Jantor”. Kilka lat później powstała hala lodowiska z widownią na 3 000 miejsc, kawiarnią, restauracją i hotelem. W grudniu 1982 r. oddano do użytku usytuowane obok drugie lodowisko „Jantor II”. Korzystali z nich zawodnicy klubu GKS „Naprzód” Janów, a także dzieci i młodzież z okolicznych szkół. Cały kompleks sportowy utrzymywała kopalnia „Wieczorek”. Okres transformacji w latach 90. XX w. sprawił, że obiekty straciły dawne źródło utrzymania i ostatecznie zostały zamknięte. W 2004 r. miasto Katowice przeprowadziło jednak gruntowną modernizację starszego lodowiska i obecnie obiekt jest jednym z najnowocześniejszych w Polsce. Ponownie rozgrywa tu swoje mecze klub hokejowy „Naprzód” Janów.

Bloki i place



Zabudowa Nikiszowca składa się z dziewięciu dużych, wielokątnych bloków z rozległymi wewnętrznymi podwórzami, z których osiem jest w pełni zamkniętych. Ponumerowano je zgodnie z kolejnością powstawania, niekoniecznie zatem bloki o następujących po sobie numerach znajdują się obok siebie. Do tej pory nikiszowianie określając miejsce zamieszkania, często podają numer bloku, który nie ma nic wspólnego z oficjalnym adresem. Na podwórza, nazywane tutaj placami, można się dostać przez tzw. ajnfarty czyli bramy wjazdowe. Obecnie place to głównie miejsca służące rekreacji, z zieleńcami i placami zabaw dla dzieci. Pierwotnie jednak miały charakter typowo gospodarczy. Stały na nich chlewiki, w których każda nikiszowiecka rodzina mogła na własne potrzeby hodować zwierzęta – kozy, świnie, króliki, gołębie. Pośrodku największych podwórz ustawiono tzw. piekarnioki, czyli niewielkie murowane budynki wyposażone w piece chlebowe. Gospodynie wg ustalonego porządku samodzielnie wypiekały w nich chleb lub drożdżowe kołoczki. Place stanowiły zatem zawsze miejsca integracji mieszkańców osiedla. To one sprawiały, że nikiszowianie czuli przede wszystkim przynależność do danego bloku, mniejszą uwagę przywiązując do ulicy, przy której stał ich dom.

< fot. Paweł Szalankiewicz,
Invisible Moments





fot. Oliwier Kosma

Zakładowy Dom Kultury

**obecnie budynek Szkoły Podstawowej nr 53
ul. Szopienicka 58 A**

Na placu bloku II znajdują się zabudowania należące obecnie do Szkoły Podstawowej nr 53. Początkowo w tym miejscu mieściła się jednak kopalniana łaźnia. W 1937 r. koncern Giesche SA wraz z gminą Janów wybudował obok niej kryty basen, pierwszy o przepisowych wymiarach w województwie śląskim, w którym m.in. mogli trenować zawodnicy znanego Towarzystwa Pływackiego „Giszowiec-Nikiszowiec 23”. W 1968 r. w budynku dawnej łaźni po przebudowie otwarto Zakładowy Dom Kultury. Odbywały się w nim liczne zajęcia, z których korzystali zarówno najmłodsi jak i dorośli mieszkańcy osiedla. Spotykała się tam m.in. Grupa Janowska. W domu kultury urządzono również kino związkowe „Muza II”, z 494 miejscami.

Na początku lat 90. XX w. w okresie restrukturyzacji kopalnia całkowicie zrezygnowała z prowadzenia Zakładowego Domu Kultury, przekazując budynek miastu, z przeznaczeniem dla Szkoły Podstawowej nr 53. Po gruntownym remoncie, 17 stycznia 1996 r. oddano do użytku nowe pomieszczenia szkolne, wraz z salą gimnastyczną. Parę miesięcy później ponownie otwarto wyremontowany basen.

Ulice Nikiszowca



Spacerując ulicami Nikiszowca warto zwrócić uwagę na fasady budynków. Chociaż wszystkie domy na terenie osiedla zostały wybudowane z czerwonej cegły licówki, a parapety i obramienia okienne tradycyjnie malowane są czerwoną farbą, trudno znaleźć dwa jednakowe wejścia do klatek schodowych. Oryginalny charakter elewacji domów nadają również okna, wykusze, balkony o różnych kształtach i rozmiarach oraz bogactwo innych detali architektonicznych.

Za najbardziej fotogeniczną z nikiszowieckich ulic uchodzi ulica św. Anny. Wielokrotnie utrwalano ją w kadrach filmowych m.in. w śląskich filmach Kazimierza Kutza pt. „Perła w koronie” i „Sól ziemi czarnej”. Z jej perspektywy roztacza się wyjątkowo piękny widok na barokową kopułę kościoła pw. św. Anny.

< fot.
Paweł
Szałankiewicz,
Invisible
Moments

fot. ze zbiorów
UM Katowice



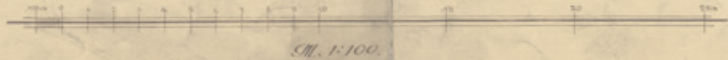
für die Ausführung der
 genehmigt.
 Datum C. d. v. 23. Oktober 1913.
 Der Amt-Vorsteher.
 Müller.
 4. v. v. Stad.
 5. 6. v. v.



Hof Nord-West Ansicht



Straßen Süd-Ost Ansicht



M. 1:100.

Fragment projektu VII bloku – E. & G. Zillmann, 1913;
 źródło: Archiwum Państwowe w Katowicach,
 zespół akt nr 12/336 Giesche S.A Katowice, sygn. kart 178

Architekturbüro
 für die Reichsstadt
 Berg von Giesche & Co.
 Katowice



fot. ze zbiorów UM Katowice



fot. Marek Locher

Dyrekcja kopalni i szyb „Nickisch” / „Poniatowski”

ul. Szopienicka 58



Przy ulicy Szopienickiej stoją zabudowania należące do KWK „Wieżczerek”, dawnej kopalni „Giesche”. Z zabudową mieszkalną bloku II połączona jest dyrekcja kopalni – budynek administracyjny z cechownią. Niestety w okresie PRL-u cechownia została przebudowana w taki sposób, że jej elewacja straciła swój pierwotny, dopasowany do całości zabudowy osiedla, charakter.

Po drugiej stronie ulicy dostrzeżemy szyb „Poniatowski”. Do 1935 r. nosił on nazwę „Nickisch”, nadaną na cześć jednego z przedstawicieli spółki Georg von Giesche’s Erben, właścicielki kopalni – barona Nickisch von Rosenegk. Szyb głębiono w tym samym czasie gdy po przeciwnej stronie drogi powstawała zabudowa mieszkalna. Osiedle nazwano zatem po prostu Nickischschacht czyli szyb Nickisch, przekształcony później w polską nazwę Nikiszowiec.

< v fot.
Marek Locher





fot. Marek Locher



fot. Marek Locher

Szyb „Carmer”/ „Pułaski” oraz wagony Balkanu

ul. Szopienicka 41



Za kolebkę Nikiszowca można bez wątpienia uznać szyb wydobywczy „Pułaski”, noszący pierwotnie nazwę „Carmer”. Jego otwarcie w 1907 r. spowodowało konieczność zatrudnienia bardzo wielu nowych pracowników kopalni „Giesche” i w związku z tym budowy osiedli górniczych w pobliżu miejsca pracy. Cechownia i maszynownia szybu „Pułaski” zostały zaprojektowane przez wielokrotnie wspomnianych architektów – Georga i Emila Zillmannów. W maszynowni znajduje się działająca do dziś elektryczna maszyna wyciągowa z początku XX w.

Stałą ekspozycję przed szybem „Pułaski” stanowią dwa wagony, jedyna pozostałość po pociągu, do którego przylgnęła nazwa Balkan. W 1909 r. spółka Spadkobierców Gieschego otrzymała koncesję uprawniającą do prowadzenia prywatnej kolei wąskotorowej służącej przede wszystkim do transportu towarowego. W 1916 r. wykorzystując fragment tej sieci kolejowej uruchomiono jednak transport pasażerski i tym samym rozwiązano problem dojazdu górników do pracy. Pociąg kursował pomiędzy Giszowcem, a szybem „Wojciech”, na granicy Janowa i Szopienic, zatrzymując się przy kolejnych szymbach kopalnianych. Podróż nim była bezpłatna. Nieoficjalna, ale powszechnie używana, nazwa pociągu to żartobliwe nawiązanie do pociągu ekspresowego o nazwie Balkanzug, łączącego Berlin z Konstantynopolem. Ostatni kurs kopalnianej kolei pasażerskiej odbył się 31 grudnia 1977 r.

< fot. Marek Locher



fot. Marek Locher



fot. Marek Locher

>
fot. ze zbiorów
Barbary Waluś



RODZIAŁ III
NIKISZOWIEC – HISTORIA MÓWIONA

Andrzej Soliński, emeryt. Przepracował na kopalni „Wieczorek” na różnych oddziałach powierzchni kopalni 46 lat. Zaczynał od szybu „Wilson” jako mechanik sprzętu ciężkiego.



Jak to się stało, że Pana rodzina zamieszkała w Nikiszowcu?

Moja mama wywodzi się z Bojszów, a tata jest z kolonii Zuzanna. Rodzina ze strony mamy przeprowadziła się na Nikisz, bo na wsi nie dało się wyżyć. Ojciec mojej mamy był pierwszym górnikiem w rodzinie, zatrudnionym w kopalni „Giesche”. Od strony ojca też prawie wszyscy pracowali na kopalni: mój dziadek i jego brat, a potem mój ojciec. Jak miałem 10 lat przeprowadziliśmy się na Nikiszowiec z kolonii Zuzanna. No i to przyniosło nam diametralne zmiany. Tam na Zuzannie był prymityw, a tutaj woda w domu, ubicacja w sieni.

A co najbardziej pamięta Pan z dzieciństwa już po przeprowadzce na Nikiszowiec?

Przede wszystkim to, że miałem blisko do szkoły. A druga ważna rzecz, to dom kultury na Nikiszu. Chodziła tam młodzież i emeryci. Jedni i drudzy mieli swoje salki. Dzieci nawet zadania domowe po szkole tam robiły. Starsi grali w skata. Działo też wiele innych sekcji, także Grupa Janowska. Była kawiarenka. Organizowano dyskoteki. Dom kultury działał bardzo prężnie. Bo bardzo dużo dla tego miejsca zrobił Klimczok. Najpierw chodziłem „do malarzy”, ale to mnie jednak nie interesowało. Potem spróbowałem też modelarstwa i gry na akordeonie.

< fot. Oliwier Kosma

A jak wyglądało życie dorosłych na Nikiszu? Co robiły kobiety, gdy ich mężowie byli w pracy albo w wolnych chwilach?

Brały na plac ryczka (stołeczek), aby sobie porozmawiać no i też razem heklować (szydełkować). Kiedyś w sumie bardzo dużo się heklowało – firanki, serwetki. Zajmowała się tym też moja mama, a żona nauczyła się od niej. Dzięki temu prawie codziennie kobiety spotykały się na placu.

A na jesień spotykały się w domach. Skubały razem pierze z gęsi, na to się mówiło wyszkubek. Czasami nawet tydzień tak skubały, od rana do wieczora. Robiły pierze do zagłówek i pierzyn. A w takim domu wtedy nawet mucha nie mogła przelecieć, bo jakby się to pierze podniosło to... fertig. Na jesień kisiło się też kapustę do beczki, ogórki do krauzu (słoika), no i robiło się kompoty.

Tradycyjne było też wspólne robienie prania w waszhaus (pralni) na rynku. Całe rodziny tam chodziły. Przeważnie w poniedziałek. W jeden dzień robiło się wszystko – prało, suszyło, maglowało. Ludzie chodzili się też tam kąpać – bo w pralni były cztery prysznice, do których wchodziło się dwójkami. Ale do magła chodzili też ludzie spoza Nikisza – bo to był najnowocześniejszy magiel w okolicy.

Gdy porównam jak kiedyś wyglądało śląskie wesele, to myślę, że obchodzono je bardziej uroczyście, więcej dbano o tradycję. Jak ktoś się miał żenić – ile to było przygotowań! Kiedy sąsiedzi przychodzili do pani młodej trzaskać skorupy, to się potem siedziało razem na sieni. Częstoowało się ich kawą – ale to była taka bon kawa, z inką. A do tego był kołocz. Chopy dostawali gorzołka. Było to takie bar-



Rodzice, Paweł i Cecylia Solińscy, 24.10.1948 r.; fot. ze zbiorów Andrzeja Solińskiego

Andrzej Soliński
z ojcem Pawłem
i bratem Pawłem
(od lewej), kol.
Zuzanna, 1954 r.;
fot. ze zbiorów
Andrzeja
Solińskiego



dziej swojskie, rodzinne i sąsiedzkie. Ludzie potrafili ze sobą spędzać czas. A dzisiaj to te wesela są jakby bardziej na pokaz. W ogóle kiedyś ludzie częściej się ze sobą spotykali. A czasem ktoś nawet przyniósł jakiś instrument i się grało – na akordeonie albo na gitarze.

Ale z tego wynika, że sień to było bardzo ważne miejsce?

Tak. Tam toczyło się całe życie. W tygodniu dzieci często jadły na sieni. A jak matka musiała coś załatwić albo rodzina była wielodzietna i biedna, to dzieci dostawały coś od sąsiadów. Pytało się po prostu wtedy: - Jedliście już? I jak się okazało, że nie, to się im dawało np. chleb z tustym. Wtedy nawet biedny był wyfutrowany (wykarmiony). Na sieni dzieci też często bawiły się. Ale musiały zachowywać się cicho. Bo jak ojcowie szli na noc do pracy, to w dzień spali. No i co najważniejsze, kiedyś w ogóle nie zamykało się domu.

No a co robiliście jako dzieci na placu?

Dzięki temu, że prawie wszystkie klatki były przelotowe, a place tworzyły labirynt mogliśmy się super bawić. To był bardzo dobry teren na chowanego. Biegało się z ajnfartu do ajnfartu (z bramy do bramy), z sieni do sieni. No a poza tym to nie mieliśmy wyboru, bo wtedy nie było żadnych placów zabaw. Jedynie małe boisko między szopkami – to się grało w futsal (piłkę nożną) na małe bramki. Czasem chodziliśmy na bany i na Misia do lasu (opis obu miejsc we wspomnieniach Pana Psoty – przyp. Red.). Na placach były też piekarnioki. Pamiętam, że stały m.in. na placu VIII bloku. I tak jak zburzyli chlewiki, w tym

czasie też zburzyli piekarnioki. Oczywiście na Nikiszu była też piekarnia – w tym samym miejscu, gdzie jest i dzisiaj na rynku. Tam był cały taki ciąg sklepów, na który mówiło się konzom plac. Obok piekarni była piwiarnia, gdzie rozlewali też wodę mineralną, oraz rybny.

Trzeba też wspomnieć o lodowisku. Hokej był najważniejszym sportem dla nas. Tworzyło się takie dzikie drużyny. Organizowaliśmy zawody między blokami. I za zgodą gospodarza lodowiska przychodziło się i grało.

Taki był Nikisz Pana dzieciństwa. A od kiedy Nikisz zaczął być popularny?

Przez długie lata Nikiszowiec był traktowany tylko jako osiedle robotnicze i nic więcej. Nikt tym miejscem się nie interesował. Dopiero jak Kutz zaczął robić swoje filmy, to powoli się to zmieniało. Sam pamiętam jak były kręcone sceny na rynku, przy kościele, na hałdach. Jeździłem też z ekipą filmową do innych części Śląska. Bo pracowałem na kopalni „Wieczorek” jako mechanik samochodowy. Jak ekipa jechała kręcić gdzieś sceny, to kopalnia dawała im kilka autobusów. I wtedy potrzebowali też mechanika.

A co Pan sądzi o tej zmianie Nikiszowca?

To jest już inny Nikiszowiec niż ten z mojej młodości. Zmienili się ludzie, inaczej się też mieszka i żyje na co dzień. Zmienił się przede wszystkim jeśli chodzi o wydarzenia kulturalne. Jest dużo imprez, np. Jarmark. Widzę to od środka, czyli od momentu jak moja córka

zaczęła pracę w tej społeczności. Nie myślałem, że kiedyś ludzie będą się tak interesować Nikiszowcem. Dla mnie dawniej wszystko działo się wokół jednego miejsca – domu kultury. A dziś jest wszędzie pełno różnych wydarzeń i zajęć.

Dziękuję za rozmowę.

Andrzej Soliński
z córką Anną,
pod oknem
rodzinnego domu
w Nikiszowcu;
fot. Oliwier
Kosma



Pelagia Szyja, z domu Papoń, rocznik 1919. Pani Pelagia jest najstarszą osobą, która dzieli się swoimi wspomnieniami w tej publikacji. W wywiadzie pomogła nam jej wnuczka, Aleksandra Gromowska, której bardzo dziękujemy. Jak podkreśla Pani Aleksandra, babcie utożsamia ze słowami piosenki, które bardzo często były na ustach pani Pelagii:

Rodzinny dom to istny raj, dar Ojca Niebieskiego, chociaż byś przeszedł cały świat, nie znajdziesz piękniejszego.



Dzieciństwo

Urodziłam się w 1919 r. w domu rodzinnym przy ul. Oswobodzenia (wtedy ul. Wolności). Moja mama pochodziła z Międzyrzeczka k. Pszczyny, a ojciec był właścicielem gospodarstwa na Janowie – posiadał 15 morgów ziemi. Miałam dwie siostry Monikę i Martę i jednego brata Jerzego. Niestety nikt z rodzeństwa już nie żyje. Byliśmy typową rolniczą rodziną. Dlatego dzieciństwo spędziłam pomagając wraz z rodzeństwem rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa. Mieli-

^ I komunია siostry Moniki, przed domem rodzinnym przy ul. Wolności (obecna ul. Oswobodzenia)

< ^ fot. ze zbiorów Pelagii Szyja



Na wyjeździe
KSMŻ, l. 30.;
fot. ze zbiorów
Pelagii Szyja

śmy konie, kaczki, kury, gęsi, krowy. Uprawialiśmy też zboże, ziemniaki, buraki. Na zabawę nie było w ogóle czasu.

W wieku 7 lat poszłam do szkoły powszechnej. Uczyłam się w języku polskim, jednak godzinę tygodniowo uczyliśmy się też niemieckiego. Miałam swoje hefty (zeszyty) i pióro. Od 9 do 14 roku życia byłam na wychowaniu u ciotki Gertrudy w Chorzowie. Wzięła mnie do siebie, bo miała tylko jedną córkę, z którą bardzo się lubiliśmy i spędzałyśmy wspólny czas na zabawie i nauce. Było mi tam bardzo dobrze. Nauczyłam się u ciotki wielu rzeczy – m.in. gotowania, robótek ręcznych i języka niemieckiego.



Wspólne szycie
na spotkaniu
KSMŻ;
fot. ze zbiorów
Pelagii Szyja

Młodość

Gdy miałam 14 lat zapisałam się do KSMŻ, czyli Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej, które działało przy klasztorze sióstr Jadwiżanek. Opiekunem był ks. Rębowski, a prezesem Otylia Kamzela. Ze stowarzyszenia wysłano mnie do klasztoru do Lysek k. Rybnika, abym przygotowała się do pełnienia funkcji naczelniczki sportu w KSMŻ. W stowarzyszeniu spotykaliśmy się raz w tygodniu i spędzaliśmy czas wolny, robiąc przeróżne rzeczy. Poza modlitwą, uczyliśmy się, bawiliśmy się, spotykaliśmy się przy ognisku, jeździliśmy

na wycieczki w góry. W każdą niedzielę chodziliśmy pieszo na mszę św. do Panewnik. Pielgrzymowaliśmy także do Piekar i okolicznych parafii, w których odbywały się uroczystości odpustowe. Wszystko to służyło katolickiemu wychowaniu. Natomiast moja siostra Marta należała do przykościelnego chóru „Płomień”. Grali dużo przedstawień, które wystawiane były w krypcie kościoła św. Anny.

Pamiętam też jak obchodziliśmy zielone świątki, czyli święto Zesłania Ducha Świętego. Wtedy wszystko stroiło się na zielono – kościół, dom. Używało się do tego m.in. gałązek brzozy, tataraku i liści dębu, z których kobiety plotły girlandy. Gdy wchodziło się do kościoła, to miało się wrażenie jakby wkraczało się do lasu, gdyż zewsząd dobiegał zapach świeżo ściętych drzew i liści.

Na wakacje jeździłam do dziadków do Międzyrzecza. Dziadek był leśniczym, jednym z zarządców lasów dóbr księcia pszczyńskiego. Dlatego między innymi dokarmił zwierzynę, organizował polowania w tamtejszych lasach. Gdy w wieku 14 lat wróciłam od cici, aby znów zamieszkać w domu, nie poszłam już do szkoły. Moja mama była bardzo chora i razem z rodzeństwem musieliśmy przejąć jej obowiązki. Zmarła, gdy miałam 19 lat.

Dorosłość

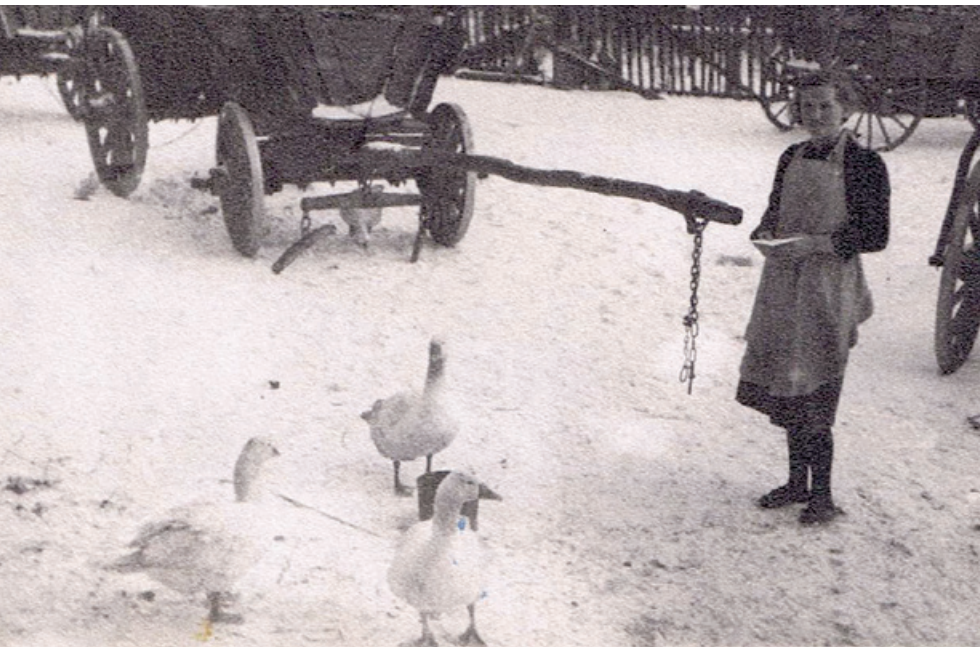
Swojego męża – Leonarda, poznałam na chrzcinach u koleżanki w 1947 r. Pobraliśmy się jeszcze w tym samym roku. Mój mąż był najmłodszym w Polsce mistrzem piekarskim. Mieliśmy swoją piekarnię na Janowie Miejskim (Mysłowice), którą mąż założył jeszcze przed



naszym ślubem. Wcześniej był właścicielem piekarni w Mysłowicach-Brzęczkowicach i Mysłowicach-Brzezince.

Od początku lat 50. byłam wolontariuszką w Caritasie działającym przy parafii św. Anny. Rozdawaliśmy paczki dla starszych i chorych parafian. W latach 80. organizowane były kolonie charytatywne z parafii do Łąki k. Pszczyzny. Razem z koleżankami gotowałyśmy tam dla dzieci. Później byłam pomocą kuchenną w „Symeonówce”, która także działała przy parafii. Przygotowywałyśmy tam posiłki dla naj-

Mąż Leonard przed piekarnią w Mysłowicach, początek l. 40.; fot. ze zbiorów Pelagii Szyja



Pelagia Szyja przed domem rodzinnym przy ul. Wolności (obecna ul. Oswobodzenia); fot. ze zbiorów Pelagii Szyja

bardziej potrzebujących. Praca wolontariuszki zawsze była dla mnie przyjemnością. Pomagałam też mężowi w prowadzeniu piekarni aż do 1978 r., kiedy została zamknięta. Zaraz potem mój mąż zmarł. Z naszego małżeństwa urodziła się dwójka dzieci – Antoni i Joanna. Mam też dwie wnuczki, które założyły swoje rodziny. Mieszkamy razem w wielopokoleniowym domu razem z dwoma prawnukami.

Dziękuję za rozmowę.



Pelagia Szyja w młodości; fot. ze zbiorów Pelagii Szyja

Henryk Psota, emerytowany elektryk KWK „Wieczorek”.

Brał udział w tworzeniu wielu obiektów kopalni, m.in. ośrodków wczasowych w Jaworzu, Tresnej i Bukowinie Tatrzańskiej.

Pasjonat historii Janowa, Giszowca i Nikiszowca, którą utrwała w ręcznie spisywanych kronikach.



Najstarsze wspomnienia opisałem z przekazu mojej rodziny z Janowa. Najwięcej informacji otrzymałem od wujka Jakuba Piwko, a następnie od mojego ojca Alojzego Psoty. To właśnie przede wszystkim im (niestety obaj dziadkowi Paweł Psota i Karol Urblich zginęli na kopalni) zawdzięczam to, że zaszczylili we mnie miłość do tej małej ojczyzny, jaką był dla mnie Janów, a później także Nikiszowiec i Giszowiec. Już od dziecka ciekawił mnie każdy, nawet najmniejszy nawet zakątek tej ziemi. Wszystko to spisuję w swoich kronikach.

Śląskie kolonie – osady – osiedla

Kwestia, gdzie, w jakich warunkach, w jakich domach mieszkają wszelkiego typu pracownicy, zaczęła stawać się szeroko dyskutowanym problemem dopiero na przełomie XVIII i XIX w. Dlatego właśnie osady i kolonie robotnicze były szczególnym zjawiskiem architektonicznym. W naszym przypadku to miejsca związane z górnictwem na Ziemi Janowskiej. Domy w osadach późniejszego Janowa były początkowo drewniane. Chałupy kryte były słomą. Z biegiem lat wyrastały domostwa murowane. One miały w bliskości las, łąki, pola uprawne, zagrody i stawy. Wszystko to po to, aby żyło się lepiej i zwiększał się dochód rodzinny. Janów po kolei wchłaniał: wioski, osady, przysiółki i małe kolonie. Po wyczerpaniu się w ziemi surowca zaczęto takie miejsca starogórnicze i hutnicze zrównywać z ziemią. Padały kolonie: Agnes-Amanda, Jakub, Zuzanna, Agata, Arnold, Beznadzieja, Albert, Podgruba.

< fot. Małgorzata Krakowiak

Znaczącym symbolem krajobrazu XIX i XX-wiecznego Górnego Śląska były oczywiście familoki. Te robotnicze domy z czerwonej cegły żyły na co dzień swoją niepisaną historią. W większości były w nich mieszkania z kuchnią i pokoje o zaniżonym standardzie. Pobór wody odbywał się na klatce schodowej, WC zaś znajdowało się na podwórku. Nie było kanalizacji. Do każdego mieszkania przypisane były: chlew, szopka, piwnica i strych, jeżeli takowy był. Sercem każdego familoka była sień, która żyła całodobowo ludźmi. Tamte familoki, chaty i baraki przeszły do historii. Budownictwo to nie posiadało dekoracji ani ozdób architektonicznych, gdyż nie było projektowane przez architektów, a jedynie przez budowniczych. Niektóre nazwy tych miejsc utrwalone zostały w nazewnictwie i planach Katowic. W 1980 r. na mapach było ich jeszcze 53. Ale na początku XXI w. niewielu mieszkańców Janowa łączyło te piękne, staropolskie nazwy miejscowości z Katowicami.

Nie mamy zbyt wielu atutów, którymi pochwalić się mogą duże miasta. Dlatego szanujmy naszą architekturę i zadbajmy o nią. Kiedy chodzi o dobro tej ziemi, to dobro w najszerszym znaczeniu, wyniesione zostało z domu, co jak się okazało było moją słabością do wszystkiego, co mnie otaczało. Zamieszkująca te ziemie społeczność była od początku podobna do innych pionierów. Byli wśród niej wielcy i mali, grzeszni i święci, robotni i obiboki. Sięgając głębiej w charakter Ślązaków – różnorodność była czymś twórczym niezależnie czy był górnikiem, hutnikiem, czy też uprawiał ziemię na roli. Zawód przekazywany z pokolenia na pokolenie, miłość do małej ojczyzny, cenna pamiątka rodzinna – oto dziedzictwo.

Moim początkiem był Janów, a gdy wyrosłem z pieluch to już Nikiszowiec. Od tego momentu Nikisz wyznaczał rytm życia. Były to bloki, szyby kopalni, Balkan, kominy elektrowni, szkoła, kościół.

Początki Nikiszowca

Zgodę na budowę kolonii Nikiszowiec wydano 16 grudnia 1908 r. Nikiszowiec jako jedyny z „trójki”: Janów – Giszowiec – Nikiszowiec ostał się w pierwotnej postaci. Nikiszowiec to górnicza kolonia mieszkalna, składająca się z 9 bloków. Pojawiać zaczęła się na mapach w 1909 r. Żeby osiedle mogło powstać trzeba było wykarczować ogromną połać lasu. Tę robotę wykonali ci sami drwale-karczownicy, którzy przygotowywali wcześniej plac pod budowę Giszowca. Okazało się bowiem, że kolonia Giszowiec już w końcu jej budowy jest niewystarczająca dla rozwijającej się kopalni. Zakończenie budowy kolonii Nikiszowiec i tworzenie jej społeczności zostały przerwane przez wybuch I wojny światowej. Państwo niemieckie prowadziło działalność wojenną, a to odbiło się na budowie Nikisza. W sierpniu 1914 r. nikiszowanie usłyszeli pierwsze strzały i wybuchy od Mysłowic. Po ogłoszeniu mobilizacji chłopcy z Janowa, Giszowca i Nikiszowca trafiły na front.

Osiedle inne niż wszystkie

Nikiszowiec to jedyne nasze pocieszenie i nasza duma. Swym kształtem przypomina amfiteatr, którego wszystkie uliczki prowadzą na scenę – czyli rynek. W jego założeniu była rozumna troska o dobro

wspólne. Największym, a zarazem jedynym rozwartym blokiem, jest blok nr II. Zaś najmniejszy wśród dziewięciu bloków Nikisza jest – III. Jedynym blokiem w kolonii, który nie posiada łącznika-nadwieszki z blokiem sąsiednim jest – IX. On to był kończony po I wojnie światowej, kiedy to brakowało już pieniędzy na łącznik z blokiem VIII, na fontannę i tereny zielone z placami zabaw. Trój-kondygnacyjne bloki Nikiszowca połączone nadwieszkami były rozwiązaniem rzadko spotykanym w budownictwie tego typu – nie tylko w Polsce. Z braku funduszy nie zrealizowano budowy bloku nr X na parceli przy kościele przy skwerze Zillmannów. Ten zupełnie inny dom widnieje na pierwszych planach kolonii.

Każda bryła domu, a jest ich 130, zawiera w sobie różnego rodzaju ozdobniki. Te elementy wkomponowano w mury, fasady, obramowania: okien, drzwi, balkonów i ajnfartów. Widocznie Zillmannowie nie znali monotonii, gdyż całość kolonii tworzy niepowtarzalną różnorodność zdobniczą. Świadczy to o tym, że Nikiszowiec był wielkim kunsztem budowlanym, nad którym każdego dnia z ogromnym poświęceniem czuwał radca górniczy Anthon Uthemann. Uthemann nie zgodził się na sadzenie zieleni blisko mieszkań. Udowadniał, że zarośla staną się siedliskiem brudu. Pozwalał na dzikie pnące się po murach wino. To za bajtla pamiętam na IV bloku! Mimo miejskiego charakteru zabudowy wprowadzono do Nikiszowca pewne elementy wiejskie. Należały do nich chlewiki, szopki, piekarnioki. Każda rodzina miała moż-



Angela Labus,
l. przedwojenne;
fot. ze zbiorów
Henryka Psoty

liwość dzięki nim hodowli zwierząt gospodarskich. Tuż za blokami znajdowały się pola i łąki.

Dziś Nikiszowiec jako unikat znacznie odbiega od architektury innych kolonii i osiedli, nie tylko na Górnym Śląsku. Trzeba zaznaczyć, że od początku swoich narodzin stał się Nikiszowiec samowystarczalny. Budowany zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju i wpływu na środowisko naturalne. Nie ma na świecie – że powiem nieskromnie – na pewno w Polsce, drugiego takiego magicznego miejsca. Te 9 bloków pisało od początku swoją historię. Ba, pisała ją każda z sieni.

Kościół

Pierwszy pomysł architekta Ludwiga Schneidera zakładał, że kościół będzie neogotycki lub neoromański. Na takie rozwiązanie nie wyrażał zgody Uthemann. Ksiądz proboszcz Paweł Dudek także pragnął kościoła, który by górował, a nie sterczał. Stalowe konstrukcje dachowych kopuł kościoła powstały w 1925 r. w hutach: „Królewska” i „Laura”. Kościół miał być tak wielki, aby z jego wieży ks. Dudek mógł zobaczyć ukochaną Górę św. Anny. Parafianie na patronkę wybrali sobie świętą Annę – Matkę Maryi. Proboszcz Dudek od samego początku uwielbiał pielgrzymki. Wyruszał z parafinami do Panewnik, Piekar, Częstochowy, a nade wszystko na Górę św. Anny. Proboszcz to był wspaniały i lubiany człowiek. Troszczył się o wszystko i wszystkich. Ludzie powtarzali, że wystawił nam jeden z najpiękniejszych kościołów na ziemi śląskiej.

Od czasu rozpoczęcia budowy kościoła w Nikiszowcu, nawet najcięższe ciosy nie zdołały zachwiać głębokiej ufności proboszcza Dudka w Opatrzność Boską. Ksiądz proboszcz poznawszy błogą działalność sióstr świętych Jadwizanek, postanowił sprowadzić siostry w celu opieki nad biednymi dziećmi oraz chorymi. W 1919 r. na tzw. Batę, gdzie znalazł miejsce dom klasztorny, przyjechały 4 siostry. Ich dom niczym się nie różnił od górniczego familoka. Jadwizanki starały się w swojej ochronce o dzieci, opiekowały się chorymi, prowadziły kuchnię mleczną, uczyły w szkółce robótek ręcznych. Gdy był już kościół, starały się o jego wystrój. Nazwa „Bata” została zapożyczona od znajdującego się tam sklepu obuwniczego słynnej na całym świecie czeskiej firmy „Bata”.

Kopalnia

Ponad 100 lat temu każdy zakład górniczy na *Giesche Grube* (na szybach) posiadał własną sortownię i bocznice kolejową, odrębne szyby zjazdowe i wydobywcze, wentylacyjne, kotłownię i warsztaty. Połączenie wszystkich nabytych pól górniczych i kopalni przez Spadkobierców Gieschego w jedną kopalnię nastąpiło w 1883 r. Całkowity jej obszar wynosił 842 ha. W roku 1914 kopalnia „Giesche” posiadała 17 szybów, a jej obszar obejmował 26 953 998 m². Pod koniec XX w. obszar ten zmniejszył się do 16 ha. Zakłady „Gieschego” eksploatowały ogromną, największą na Górnym Śląsku, bo liczącą ponad 50 km, sieć kolei wąskotorowych – w całości prywatną. Nigdy już później – jak bywało do czasów II wojny światowej – nie było tak doskonałego zrozumienia, porządku i związku między kolonią a kopalnią.

MIEJSCA Z DZIECIŃSTWA

Miś

To teren wokół Boliny. Najpierw za mostkiem rzeki Boliny utworzone było długie, lecz łagodne wzniesienie leśnego terenu. Bardzo dawno temu do mostku prowadziła polna droga. Z biegiem lat zaczęto przy niej wznosić domy. Najpierw były to chaty, a potem murowane domy, po obu stronach drogi. Jeden taki dom postawił pan Miś i urządził w nim restaurację – szynk. Obecnie teren znacznie się obniżył. Jest bardzo lubianą drogą spacerową i rowerową po leśnych ścieżkach. Kiedyś Miś też był odwiedzany, gwarny i lubiany. Mojemu pokoleniu służył zwłaszcza w okresie zimy. Wzniesienie przyciągało pół Nikisza – tych, którzy nie mieścili się na banach. Chodziliśmy tam ślizgać się na nartach. Sami je wykonywaliśmy z klepek beczek – nazywano je bednarkami.

Bany

Bana od zawsze była w bliskości bloków na Nikiszowcu i zawsze skrywała swoje niezwykle tajemnice. Kusiała i zachęcała. Cudowne miejsce dziecięcych lat. Wielkie przygody i darmowe atrakcje – bany oferowały to każdemu. Magia bany powracała każdego dnia. I nie miało znaczenia czy było lato, czy też zima! Te kolejowe nasypy były przykładem dziecięcej wytrwałości i dążeń. Jakby czarodziejska różdżka gnała na bany gromady dzieci. Zwłaszcza jesienią i zimą bany nie próżnowały. Ślizgano się na wszystkim, co sobie wymyślono i skonstruowano samemu. Trwało to do późnego wieczora.



Za banami – przy hałdzie z widokiem na wieże chłodnicze elektrowni, 1964 r.; fot. ze zbiorów Henryka Psoty

Mrówcza Górka,
1972 r.;
fot. ze zbiorów
Henryka Psoty



Wcześniej tory szły równo z poziomem dróg. Nie było wiaduktów, a były szlabany, budki dróżników. W klinie pierwszej i drugiej bany odkrywaliśmy składowisko betonowych, jednoosobowych schronów obserwacyjnych w kształcie dawnych słupów ogłoszeniowych. Ostatni taki schron stoi na wieży szybu „Poniatowski” na Nikiszowcu, a pomalowany jest na niebiesko. Zawsze bacznie obserwowano nadjeżdżające pociągi. One głośno piszczały, a wolno jechały. To nie tak jak nasz „Latający Pieron”, który już w latach 30. ubiegłego wieku jeździł z Bytomia do Berlina nie całe 5 godzin.

ŻYCIE CODZIENNE

Magiel

Cóż to był za znakomity pomysł dać mieszkańcom kolonii tak niezwykle potrzebny obiekt. Z lewej strony budynku na parterze zlokalizowana był hala pralnicza. Wzdłuż ściany z oknami znajdowały się podwójne stanowiska pralnicze. Na piętrze była hala maglowni oraz suszarnia. Pięć magli umieszczono pod oknami i jeden z boku przy wejściu do hali. Przeciwną stronę hali, na całej jej długości, zajmowały ruchome regały – wsuwane i zawieszane na kółkach. Na nich to wieszano rzeczy do ekspresowego suszenia (23 godz.). Na podłodze pod regałami leżały grzejniki, ogrzewane centralnie z położonej na placu kotłowni. Następnie maglowano, co jednak dla nowej osoby nie było łatwe.

Pralnia była okazją do spotkań i pogaduszek towarzyskich. Opowiadano w niej wiadomości osiedlowe, wymieniano wszelkie uwagi na temat dzieci, przekazywano tajniki gotowania, pieczenia, przechowywania żywności na zimę. Narzekano na złe czasy, w jakich przyszło żyć.

Tradycja

Obchodzenie urodzin na Śląsku to bardzo stara tradycja, która obrazuje zachodnioeuropejski rys śląskich obyczajów. Obchodzone są trzy główne i typowe gyburstagi (urodziny): roczek, abraham, sto lat. Celebrowanie 18. urodzin przybyło na Śląsk wraz z ludnością napływową w II połowie XX w. Do tych i innych imprez takich jak: jubilaty na kopalni, barbórki, przejścia na emeryturę, itd. potrzebni byli masarze, bo wielu ludzi trzymało w chlewikach wieprzki. Tych speców od zabijania i oprawiania wraz z wyrobami była silna grupa.

Strój ludowy to bogactwo, którym trzeba się szczyć. Ale trzeba wyjaśnić, że nie ma czegoś takiego jak „strój ludowy”. Traktowali go jako swoje normalne ubranie, tyle że odświętne. W ten sposób podkreślali przecież swoją przynależność do ziemi, na której żyli. Inne ubranie było w Bytomiu, inne w Pszczynie, Raciborzu czy Cieszynie.

Zwierzęta

Koniarzy na blokach także nie brakowało. Konie w chlewie, a fury na placu trzymano w każdym bloku. No prawie! Jednym koniarzom dawały utrzymanie, dla innych było to tylko dorobieniem się do geltaku (wypłaty) z kopalni. Bardzo ważnym zwierzęciem była też ciga (koza). To bardzo wytrzymałe i potrafiące się wyżywić byle czym zwierzę.



Henryk Psota
z kuzynką
na lodowisku
„Jantor”, 1966 r.;
fot. ze zbiorów
Henryka Psoty

Hodowano nie tylko w gospodarstwach, ale i w zwykłych chlewikach przy familokach. Z kozy ludzie mieli mleko, mięso i skóry. Pasanie kóz było podstawowym obowiązkiem dzieci, które popołudniami całymi gromadami ciągnęły na miedzę i nieużytki. Dawniej na Śląsku w każdej gminie były takie publiczne łąki do wypasania kóz. Śląska ciga-żywicielekka niejedną rodzinę uratowała od głodu.

Piekarnioki

Nie jest prawdą, że na każdym bloku stał piekarniok. Był on tylko na placu I, II, VIII i IX bloku.

Handel

Nikisz pierwszy sklep sieci „Konsum” otrzymał w 1911 r. Natomiast stajnie i wozownia czynne już były w sierpniu 1912 r. Na placu targowym w Nikiszowcu sprzedawano warzywa, owoce, zboże i czasami mleko. Stragany zawsze w tym samym miejscu stawiali: Baron, Kalamala, Grabski. Handlowano od poniedziałku do soboty. W sezonie przyjeżdżali furmankami chłopci ze wsi. Później wybudowano pawilon „Warzywa-Owoce”. Przed przejazdem kolejowym, po stronie szkoły w Nikiszowcu w niedzielę i święta pani Śliwińska z VI bloku na straganie sprzedawała słodczyce i pierniki. W identycznym miejscu, lecz za torami czyniła to samo, w te same dni pani Krenzela z Janowa.

LUDZIE

Nikisz nie mógłby istnieć ze swoją kopalnią i zabudową, gdyby nie jego mieszkańcy. Tamte pokolenia nie siedziały jeszcze w fotelu przed telewizorem, internetem czy telefonem w ręce. Chociaż byli zwykłymi,

prostymi ludźmi, to byli obdarzeni niebywałym darem serca dla drugiej osoby. Gdy na przykład każdego roku na jesień – kiedy rozpoczynała się „akcja ziemniaczana” – wysypano z furmanek 12 hałd kartofli na placu, wtedy cała sień wspólnie obierała i przebierała ziemniaki do wiader, także wspólnie je znoszono do piwnicy. W taki sposób znikająca kupa ziemniaków, a potem to miejsce pozamiatano.

Fotograf

Zakład fotograficzny na Nikiszu prowadziły trzy pokolenia Niesporków. W 1919 r. zapoczątkował fotografowanie Augustyn – zmarł w 1958 r. Po nim zakład przejął w całości syn Franciszek – zmarł w 1971 r. Ostatni z pokolenia Niesporków, Krzysztof – zmarł w 2016 r. Tradycyjną fotografię wypierać zaczęła fotografia cyfrowa.

Aptekarz

Aptekarz z Nikiszowca, działacz społeczny, Władysław Bueschs urodził się w 1880 r. w Berlinie jako syn kierownika poczty, który został przeniesiony do Mysłowic za nadanie synowi polskiego imienia. W 1917 r. skończył farmację w Berlinie. Z tym to dyplomem obejmuje stanowisko kierownika apteki na Nikiszu ok. 1920 r. W 1922 r. po przyłączeniu tej części Śląska do Polski, apteka stała się jego własnością. Niezwykle udzielał się społecznie i posiadał kilka tytułów honorowych prezesów, a nawet społecznego zastępcy naczelnika gminy.

Gołębiarze

Niezwykle prężną organizację na Nikiszu od początku tworzyli gołębiarze. Zrzeszeni byli w Kole Związkowym Janów. Ich to czempiony



Dom kultury – pomieszczenie sterownicze i rozdzielnia prądu, 1968 r.; fot. ze zbiorów Henryka Psoty

zbierały w sezonie lotów najwyższe laury. Każdy z bloków miał własny klan hodowców patrzących w niebo, wyczekujących czy siwki (gołąb o barwie lekko popielato-siwej), powki (gołąb o barwie płowej, lekko czerwono-brązowej), grochowioki (gołąb o barwie siwo-szarej, nakrapiany) „już idom”.

Otton Klimczok – Grupa Janowska i dom kultury

Działająca na terenie Nikiszowca od 1946 r. Grupa Janowska swym fenomenem malarskim zafascynowała nie tylko Polskę, ale i świat.

Jej nazwę wymyślił i upowszechnił antropolog kultury, Seweryn Wisłocki. Duchowym przywódcą malarzy – górników z kopalni „Wieczorek” był od początku Teofil Ociepka. W tym samym roku malujący zaczynają się spotykać ze społecznym działaczem kultury Ottonem Klimczokiem. Przez pierwsze lata twórcy poddawani byli ostrej krytyce przez ówczesne władze. Mimo różnych niepowodzeń, artystom udaje się zachować swoje malarskie wizje.

Otton Klimczok był człowiekiem małego wzrostu. Ale głowę nosił wysoko, a serce dla ludzi miał ogromne. Nade wszystko kochał kulturę. Po zakończeniu II wojny światowej rzucił się w wir pracy w świetlicy w Nikiszowcu. Miejsce lokalizacji świetlicy zmieniało się kilka razy. On ciągle myślał o dalszym rozwoju kultury w naszym środowisku. Opiekował się nie tylko malarzami. Pod jego skrzydłami rozwijał się teatr lalek, zespół mandolinistów, sekcja skata, fotograficzna, muzyczna, plastyczna i tańca towarzyskiego. Organizował różne wykłady, kursy i szkolenia. To dzięki niemu jako 20-letnia młodzież uczęszczaliśmy na trzymiesięczne wykłady z dziedziny *savoir-vivre* pn. „Obycie umiła życie”. Ile my – jako młodzież blokowa – wynieśliśmy pożytku życiowego i nauki zachowań z tychże spotkań.

Głowa Klimczoka od wczesnego rana pełna była myśli – jak każdego z osobna zarazić kulturą. Myślał o ludziach z sąsiednich osiedli. Znałem go ze świetlicy jako bajtel. Z nim dorastałem. Z nim pracowałem w nowym domu kultury. Dużo tam widziałem i dużo poznałem. Potwierdzić mogę, że znakomicie się z nim pracowało.

Zawsze wesoło i ze zrozumieniem. Atutem „Kobla”, jak nazywano Klimczoka, było jego standardowe i mądre powiedzenie: *Pierwszą rzeczą, którą możesz ofiarować bliźniemu, jest wysłuchanie go*. Miał Otton tych mądrości w zanadru sporo.

Klimczok praktycznie kierował nowym domem kultury – Zakładowym Domem Kultury, o którego budowę sam zabiegał. Kierownictwo szło mu dobrze wręcz znakomicie. Jednak rada zakładowa i dyrekcja kopalni uznały, że Klimczok jest mało reprezentacyjny na tym stanowisku i nie powołała go na funkcję dyrektora. Otton powiesił się w sylwestrową noc 1969 r. Po samobójczej śmierci Klimczoka dom kultury już nie był tak radosny i tak barwny. Nie odzyskał już nigdy swojego dawnego splendoru. Z roku na rok robił się coraz bardziej szary.

Orkiestra

Orkiestra dęta kopalni „Wieczorek” założona została w 1911 r., a więc kiedy władze niemieckie z całą bezwzględnością tłumiły wszelkie oznaki polskiej kultury na Górnym Śląsku. Po wielu staraniach uzyskano zgodę na utworzenie orkiestry przy ówczesnej straży pożarnej kopalni „Giesche”. Orkiestra grała do wybuchu I wojny w 1914 r. Na przełomie 1918/19 r. orkiestrę reaktywowano, ale już jako górniczą. Gra nam ona do dziś.

NIKISZOWIEC DZIŚ

Aktualnie Nikiszowiec nie ma już charakteru kolonii typowo robotniczej. Wkroczył Nikisz na nowy etap swojego istnienia, chociaż można odnieść wrażenie, że dawne miejsca i obyczaje nie dla wszystkich odeszły bezpowrotnie do historii. Z końcem XX w. Nikisz utracił to, co miał najcenniejsze – oczy i uszy osiedla. Nasze starzyki kładły na parapetach okna poduszkę lub kocyk i całymi dniami, wyciszając swoją aktywność, obserwowali i nasłuchiwali świat z okna. Na Nikiszu nazywano taką osobę filus. Era starszych ludzi obserwujących Nikisz z okna swego domu właśnie dobiegła końca.

Siłą Nikiszowca stają się natomiast inicjatywy oddolne czy aktywne ruchy osiedlowe. Sprawiają, że Nikisz żyje. Tu przeszłość miesza się z teraźniejszością. Trzeba było przypominać mieszkańcom, że jesteśmy nie tylko lokatorami, ale również gospodarzami placów i ulic. I to się udaje! Pamięta się o przemysłowym dziedzictwie, nadal mamy przecież kopalnię, która fedruje. Tym dziedzictwem jest też kultura i tradycja. Obecnie da się zauważyć inny już Nikiszowiec także dzięki temu, że po placach i ulicach spaceruje czasem więcej zwiedzających anizeli mieszkańców.

Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia ze zbiorów Barbary Waluś,
z domu Gondzik



Maria i Józef
Winczowscy
w domu
na Janowie

< Agnieszka
i Ferdynand
Mildner, l. 30

Straż pożarna
w Nikiszowcu,
zlokalizowana
w sąsiedztwie
szybu „Nickisch”



Straż pożarna
w Nikiszowcu:
komendant
straży pożarnej
kopalni „Gie-
sche” – Ludwik
Ślązak (na pierw-
szym planie),
naczelnik gminy
Janów – Józef
Szeja (za nim)
oraz dyrektor ko-
palni „Giesche”
– Józef Lebedzik
(z wąsem
i z kapeluszem
w dłoni)





Grupa młodzieżowa z ks. Pawłem Dudkiem (w okularach), proboszczem parafii św. Anny



Siostry Jadwizanki z ks. Pawłem Dudkiem



Dzieci z przedszkola prowadzonego przez siostry Jadwizanki, ul. Zamkowa

Ferdynand
Mildner
ze szwagrami
na uroczystości
rodzinnej



Józef Winczowski w ogródku
piwnym z kolegami na Misiu

Procesja Bożego
Ciała przy
kościółce św. Anny,
najprawdopodob-
niej l. 40.



Barbara Waluś (trzecia z lewej) z mężem
Eberhardem (pierwszy z lewej), w tle wi-
doczny plac bloku VIII z nieistniejącymi
już chlewikami, l. 70.



Eberhard Waluś z kolegą podczas Wielkanocy
w mieszkaniu na ul. Czechowa, l. 50.



Eberhard Waluś z kolegą w mieszkaniu na
ul. Czechowa przy stole, l. 50.



Barbara Waluś na odkrytym lodowisku „Jantor” z kolegą, l. 60. (lodowisko oddane do użytku w 1964 r.)

< Barbara Waluś z młodszą siostrą Teresą na placu VII bloku, z tyłu widoczny już nieistniejący już hasiok, l.50.

REKONSTRUKCJE GIER ŚLĄSKICH

Jacek Boroń

WYLICZANKI

Zabawy na placu rozpoczynały się od zwołania „ekipy” i ustalenia, kto chce w zabawie brać udział:

Fto się bawi palec pod budka, bo za minutka za wirom budka

Chętni wkładali palec pod uniesioną, otwartą dłoń „szefa placu”, który nawoływał do zabawy. Wyliczanki służyły do ustalenia zadań w poszczególnych grach np. „kto szuka” lub do podziału biorących udział w zabawie na drużyny. Wyliczanki były wymawiane sylabami, a ten na którego przypadła ostatnia sylaba był wybrany wg wcześniejszych ustaleń:

Ele-mele-dutki

Gos-po-dorz ma-lut-ki

Gos-po-dyńi jes-ce mniej-szo

Ale za to ro-bot-niej-szo

Der, die, das,

kokot kury pas

pas je cołke lato

dostoł smary za to

MHD – Każdy wie, ze buciki

i szaliki kupujemy gdzie? W MHD

(Miejski Handel Detaliczny)

Od Pana Mariana Lorc

z ulicy Gimnazjalnej z Piekor:

rom tom tom...

jedzie Polok z maślomkom...

Polockowo z kiszkom...

podźcie dzieci z miskom

WYBRANE GRY

CYMBERGAJ/ MINI FUSBAL

Potrzebne do gry: 2 grzebień lub linijki (deseczki), 2 jednakowe duże monety (zawodnicy), 1 mała moneta (piłka), stół (lub parapet, ławka szkolna a nawet podłoga) jako boisko.

Przebieg gry: na boisku zaznacza się za pomocą zapałek, szpilek lub kredy dwie bramki i środek (mita) boiska. Za pomocą grzebień (linijki, deseczki) uderza się dużą monetą, która ma trafić małą monetą (piłką) i skierować ją do bramki. Wygrywa ten z graczy, który jako pierwszy osiągnie wcześniej ustaloną ilość bramek.

KOLARZE/ KAPSLE

Potrzebne do gry: patyk, kreda, plastelina i kapsle metalowe lub duże, ciężkie guziki (knefle).

Przebieg gry: na placu patykiem wyznacza się tor o szerokości 20-30 cm i co 1-2 m metry oraz stadion. Na podłożu betonowym używa się kredy. Kapsle można obciążyć plasteliną, żeby lepiej trzymały się toru. Każdy gracz uderza swój kapsel prztyczkiem (bynclnym) 3 razy lub do opuszczenia toru, co skutkuje powrotem na poprzednią metę lub start; wtedy kolejny gracz wykonuje swoje uderzenia. Wygrywa ten, kto jako pierwszy przeprowadzi swojego zawodnika (kapsła) przez metę stadionu.

GRA W DUCKA/ ŚLONSKI GOLF

Potrzebne do gry: kulki szklane lub robione z gliny, korale, okrągłe kamyczki o średnicy 1-2 cm.

Przebieg gry: na placu kopie się niewielki dołek (ducek).

W odległości kilku metrów od ducka zaznacza się patykiem linię, na której każdy z graczy ustawia jednakową ilość kulek. Zgiętym palcem wskazującym uderza się po kolei w swoje kulki, korale lub kamyczki. Gracz, który jako pierwszy umieścił wszystkie swoje kulki w ducku wygrywa. Można grać tylko na punkty lub o jakiś szczególny „pionek”, np. piękny koralik.

CIEPANIE – RÓŻNE WARIANTY GIER Z MONETAMI

Potrzebne do gry: różne stare lub współczesne monety, grano też szajbkami, czyli podkładkami do śrub.

Przebieg gry: monetami ciepnie się (rzuca) na kilka sposobów: pod mur, na parapet, na blat stołu, uderzając dłonią z monetą o blat od dołu lub w pozycji stojącej na ziemię. Wszystkie te warianty mają jednak wspólną cechę: wygrywa ten gracz, którego moneta pokrywa / zostaje na monecie przeciwnika i może wtedy zabrać obydwie. W wariacie rzucanie pod mur wygrywa ten, czyja moneta leży bliżej muru.

DMUCHANIE

Potrzebne do gry: różne stare lub współczesne monety, w czasach PRLu często aluminiowe ceske (1 ceski – 10 groszy, 2 ceske – 20 groszy, 5 ceskich – 50 groszy).

Przebieg gry: gracze kładą naprzeciw siebie na stole po monecie i następnie na zmianę dmuchając starają się tak przesunąć monety, aby własna moneta nakryła monetę przeciwnika. Komu się to uda, zdobywa monetę współgracza i zabiera oba pieniądze.